



**Właściciele pałaców
budowali swe siedziby,
żeby imponować hołocie.
Teraz zasłaniają je przed
ludźmi. Chcą imponować
tylko sami sobie.**



**Przed wojną
to były strajki**
str. 6

DZIENNIK COTYGODNIOWY

Jestem niepedofilem...

**...twierdzi marszałek Sejmu
Marek Kuchciński,
grożąc „NIE” sądem.**

ANDRZEJ ROZENEK

Po publikacji „Nieletnia laska marszałkowska” rządzący użyli różnych metod, żeby zastraszyć media. Grożono procesami cywilnymi i karnymi każdemu, kto „będzie naruszał dobre imię marszałka Kuchcińskiego i sprawowanego urzędu”. 8 kwietnia do redakcji „NIE” wpłynęło „ostateczne wezwanie przedsądowe”, w którym oczekuje się od nas przeprosin w formie listu do marszałka, publikacji przeprosin na łamach tygodnika i w internecie oraz wpłaty 15 tys. zł na rzecz Caritas.

Pismo opiera się na

kłamliwej interpretacji

treści artykułu „Nieletnia laska marszałkowska”: „Artykuł zawiera informacje o tym, że Marszałek Sejmu RP Marek Kuchciński, przebywając w jednym z podkarpackich domów publicznych, korzystał z usług nieletniej (prawdopodobnie poniżej 15. roku życia) prostytutki, w ten sposób, że dopuszczał się wobec niej czynności seksualnych”. Tymczasem we wspomnianym artykule nie informujemy o tym, że Kuchciński korzystał z usług nieletniej prostytutki, tylko o tym, że taka informacja jest zawarta w zawiadomieniu do prokuratury złożonym przez Wojciecha Janika: „Z doniesienia wynika, iż J. wszedł w posiadanie nagrania wideo, na którym marszałek Kuchciński obcuje płciowo z nieletnią prostytutką pochodzenia ukraińskiego”.

Zawiadomienie złożone przez Wojciecha Janika nie jest tajne, a jego treść uprawdopodobniona została licznymi materiałami dowodowymi do niego dołączonymi. Czym innym jest opisać faktycznie istniejące zawiadomienie, powołując się na dokumenty, a czym innym bezpodstawnie oskarżyć kogoś o seks z nieletnią.

O tym, co działo się w podrzeszowskim Dubiecku, pewnie wkrótce i tak się dowiemy. Na razie nikt nie przesądził o niczym. Faktem bezspornym jest to, że prokuratura zawiadomienie

otrzymała, a redakcja „NIE” to zawiadomienie w sposób rzetelny opisała.

Faktem jest również to, że gdyby jakiś

film z marszałkiem

w ogóle nie istniał, nie doszłoby do działań agentów CBA mających na celu zmuszenie Wojciecha Janika do wydania kopii nagrania, próby odkupienia tej kopii oraz namawiania do zmiany treści pisma informującego o wszystkim premiera Morawieckiego. Ponieważ nie opublikowaliśmy niczego, co byłoby nieprawdą, chętnie stanimy w sądzie, aby dowieść swoich racji. Szykuje się więc pasjonujący proces, w którego trakcie przesłuchani zostaną liczni świadkowie oraz przedstawione materiały dowodowe.

**Kuchciński zdecydował
się na to, że przez lata
sąd będzie się zajmował
oskarżeniami wobec
niego. To kiepski interes.**

Pismo w imieniu marszałka podpisał radca prawny Adrian Salus, a adres do korespondencji jest adresem partii Prawo i Sprawiedliwość przy ul. Nowogrodzkiej w Warszawie. Tak więc prywatny pozew Kuchcińskiego wyszedł z partii rządzącej. Adrian Salus, jak donosi Wirtualna Polska, jest „dyskryminowanym” prawnikiem PiS, reprezentującym np. Jarosława Kaczyńskiego w procesie z Lechem Wałęsą.

Czy zawiadomienie złożone do prokuratury przez Wojciecha Janika dotyczy prawdziwych zdarzeń? Jego treść i dołączone dowody pozwalają mniemać, że tak jest w istocie. Nic zatem dziwnego, że trwają

próby zdyskredytowania

nie samego doniesienia, tylko jego autora – Wojciecha Janika.

Portal TVP podał, że były agent leczył się psychicznie, że przegrał prawomocnie sprawę o zniesławienie, że ode-

brano mu pozwolenie na broń, a nawet, że żądał 10 tys. zł łapówki za wydanie płyty z nagraniem (tej rzekomo nieistniejącej). Rewelacje te mają na celu znieszczenie Janika i odebranie mu wiarygodności w oczach opinii publicznej. Wspominany wyrok zapadł faktycznie. Dotyczył Wojciecha Janika i Sławomira B., którzy nawzajem oskarżyli się o zniesławienie na tle kłótni o plagiat (chodzi o jedną z uczelni w Elblągu, na której Janik wykładał). Sąd w 2019 r. dokonał rozstrzygnięcia salomonowego – obydwaj panowie zostali uznani za winnych i ukarani taką samą grzywną. Ale o tym TVP milczy.

Oberwało się też prawnicze reprezentującej byłego agenta, Beacie Bosak-Kruczek. Portal rządowej TVP straszył wielkim tytułem: „Pełnomocnik byłego agenta CBA usłyszy zarzuty za fałszywe zawiadomienie o przestępstwie?”. Oskarżanie prawnika o to, że w imieniu klienta złożył zawiadomienie o uzasadnionym podejrzeniu popełnienia przestępstwa, jest tak absurdalne, że nie wiadomo nawet, jak to komentować.

Sprawy nie mógł całkiem przemilczeć rząd. Wywołany do tablicy 4 kwietnia w Sejmie w ramach pytań bieżących, w imieniu premiera tłumaczył się tam sekretarz stanu w KPRM Maciej Wąsik. Pytali posłowie Platformy Obywatelskiej Paweł Olszewski i Robert Kropiwnicki: czy CBA powiadomiło prokuraturę o możliwości popełnienia przestępstwa; czy raport agenta Wojciecha Janika dotarł do premiera Morawieckiego; czy Janik miał dostęp do

wszystkich tajemnic

służb specjalnych; czy był nagradzany przez przełożonych i wysoko przez

nich oceniany; co zostało wyjęte z kasy pancерnej tego agenta; oraz czy Janik mógł szantażować posiadanymi materiałami najważniejsze osoby w państwie.

Na większość z tych pytań minister Wąsik odpowiedzi nie udzielił. Nie chciał powiedzieć, czy raport Janika dotarł do premiera Morawieckiego, nie wspomniał o nagrodach i pozytywnej opinii, jaką cieszył się agent u szefów CBA. Nie wyjaśnił też, co zostało wyjęte z należącej do niego szafy pancерnej.

Wąsik mówił niecałe 10 minut, z czego dwie poświęcił na kpiny z pytających, zarzucając im, że pomylili aferę podkarpacką z aferą kooptacyjną przed laty ze znanym politykiem PSL Janem B. Pozostałe 8 minut minister poświęcił deprecjonowaniu Wojciecha Janika. Przedstawiał go jako osobę, która szantażowała kierownictwo CBA, leczyła się psychiatrycznie i fałszowała dokumentację.

Zdaniem Beaty Bosak-Kruczek – prawniczki reprezentującej byłego agenta – Wąsik skłamał co najmniej 9 razy. Oto fragment pisma kancelarii Temida Beaty Bosak-Kruczek odnoszącego się do wystąpienia ministra Wąsika:

„1. Nieprawdą jest, że po odebraniu poświadczenia bezpieczeństwa funkcjonariusz Centralnego Biura Antykorupcyjnego Wojciech Janik był zmuszony do odejścia ze służby.

Przeciwnie, w imieniu Szefa CBA w maju 2018 r., dyrektor kadr i szkoleń J. Wrzosek zapropował funkcjonariuszowi stanowisko w pionie logistyki. Drugie stanowisko w gabinecie szefa CBA zaproponował Wojciechowi Janikowi w maju 2018 r. zastępca szefa CBA Bogdan Sakowicz.

Tak więc Wojciech Janik sam podjął decyzję o odejściu ze służby. Ponadto w wypowiedzi został pominięty fakt pozytywnej oceny pracy zawodowej w CBA Wojciecha Janika oraz udzielanych mu nagród pieniężnych.

2. Nie jest prawdą, że były funkcjonariusz Centralnego Biura Antykorupcyjnego Wojciech Janik kiedykolwiek szantażował szefa CBA ujawnieniem kompromitujących materiałów jednego z polityków Prawa i Sprawiedliwości.

Przeciwnie, raportem służbowym Wojciech Janik poinformował o ustaleniach dokonanych w czasie pełnienia służby, które poczynione zostały na polecenie szefa CBA. O każdej możliwości popełnienia przestępstwa funkcjonariusz zawsze meldował przełożonym, zarówno w CBA, jak również wcześniej.

3. Nie jest prawdą, że były funkcjonariusz Centralnego Biura Antykorupcyjnego Wojciech Janik nie mógł poinformować Prezesa Rady Ministrów o nieprawidłowościach w służbie.

Przeciwnie, z uwagi na fakt, że wykryte nieprawidłowości dotyczyły funkcjonowania tej instytucji oraz jej kierownictwa, funkcjonariusz miał obowiązek poinformowania o tym fakcie organ kontrolujący funkcjonowanie służb specjalnych, czyli premiera.

4. Nie jest prawdą, że były funkcjonariusz Centralnego Biura Antykorupcyjnego Wojciech Janik kiedykolwiek leczył się na choroby psychiczne oraz zataił ten fakt w procesie rekrutacyjnym w CBA.

Dokończenie na str. 3



▶ Trwał strajk nauczycieli. Rząd – podobnie jak rok temu próbował zrobić z opiekunami osób z niepełno-
sprawnościami – podpisał porozumienie z oświatową „Solidarnością”, a wicepremier Jęczydło (Jęcząca Szydło) ogłosiła sukces. Została za to nagrodzona kwiatami – tak jak po zwycięstwie brukselskim 1:27.

▶ Kolejnym zwycięstwem rządu – mimo strajku – było zorganizowanie egzaminów końcowych dla gimnazjalistów. Egzaminy były nadzorowane przez emerytów, katechetów oraz zwykłych nauczycieli, których nauczyciele strajkujący nie nazwali łamistrajkami.

▶ Łamistrajkiem obwołany został za to Proksa – człowiek, który jest przywódcą oświatowej „Solidarności” i radnym Prawa i Sprawiedliwości. Niektórzy należący do „S” nauczyciele nie przerwali strajku, a na dodatek wyrzucili legitymacje związkowe. Ci, którzy nie wyrzucili, żądają dymisji Proksy.

▶ Morawiecki młodszy ogłosił w publicznej telewizji zamiar zwołania – tuż po świętach wielkanocnych – oświatowego okrągłego stołu. Liderzy pozostających w sporze z rządem Związku Nauczycielstwa Polskiego i Forum Związków Zawodowych zapowiedź premiera przyjęli tak, jak na to zasługuje – wzruszeniem ramion.

▶ W Warszawie taksówkarze protestowali przeciwko „Uberom i innym kapitałom zagranicznym” (tak powiedział w telewizji jeden manifestujący szofer), żądając od rządu zawrócenia kijem Wisły. Według taksiarzy rząd powinien przeforsować przepisy czasowo wyłączające aplikacje na smartfony, dzięki którym klienci Uberów i innych kapitałów krócej czekają na taksówkę, mniej płacą za kurs oraz szybciej docierają do celu. 185 lat temu żeńcy (chłopi zbierający zboże za pomocą sierpów) też protestowali przeciwko wynalazkowi kombajnu zbożowego.

▶ Podczas konwencji przedwyborczej w Kadzidle prezes ogłosił kolejną „piątkę” – tym razem dla rolników. Przeszedł sam siebie, obiecując dopłaty do świń (100 zł) i krów (500 zł) z budżetu Unii Europejskiej, który nie został jeszcze uchwalony.

▶ Obchodzono 9. rocznicę wypadku smoleńskiego. Zamieszanie na ulicach Warszawy było większe niż podczas protestu taksówkarzy.

▶ Przy okazji: Realnie, chociaż nie oficjalnie, przestała istnieć tzw. podkomisja smoleńska. Nie odpowiadają telefony („Nie ma takiego numeru”), wracają maile i tradycyjne listy. Nawet urzędnicy Ministerstwa Obrony Narodowej nie wiedzą, gdzie się podziła podkomisja. Nadal istnieje tylko Macierewicz, który służbową limuzyną popierdala po Warszawie z włóczonymi kogutami.

▶ Dzielni żandarmi wojskowi zatrzymali trzech byłych wojskowych, w tym generała broni Lecha M., byłego dowódcę rodzajów sił zbrojnych. Dzielni prokuratorzy postawili im zarzuty „przekroczenia uprawnień służbowych w celu osiągnięcia korzyści majątkowej oraz przywłaszczenie mienia znacznej wartości” w związku z organizowaniem pokazów lotniczych „Air Show” w Radomiu. Podejrzany grozi 10 lat pułdła.

▶ Dzielni polscy policjanci z pomocą hiszpańskich policjantów zatrzymali pod Walencją ukrywającego się od lutego Marka Falentę, skazanego na 2,5 roku mamra za kierowanie podsłuchiwaniami polityków i biznesmenów w dwóch warszawskich restauracjach. W chwili zatrzymania Falenta udawał samobójcę, a w hiszpańskim areszcie udaje tak psychicznie schorowanego, że nienadającego się do ekstradycji. Obstawiamy, że Falenta wróci do Polski po jesiennych wyborach do Sejmu i Senatu.

▶ W najnowszym raporcie Komisji Europejskiej, oceniającym politykę ochrony środowiska w krajach członkowskich, Polska wypadła fatalnie. W ciągu ostatnich dwóch lat pisowski rząd nie zrobił nic, żeby ograniczyć smog, i zrobił niewiele, żeby dostosować gospodarkę odpadami do standardów europejskich. „Die polnische Schlampe” – mówią Niemcy, co oznacza „polskiego flejtucha”.

▶ Komisja Europejska dała Polsce 2 miesiące na udzielenie wyjaśnień w sprawie dyscyplinowania sędziów, które eksperci KE uważają za „uchybiające zobowiązaniom państwa członkowskiego UE”. Ziobro zareagował nerwowo, oskarżając wiceprzewodniczącego KE Fransa Timmermansa o to, że pochwała kradzieże wiertarek, dokonywane przez polskich sędziów, za co dawny Sąd Najwyższy ich uniewinnił. Timmermans tak ignoruje Ziobrę, że nawet go nie wyśmiał.

▶ Tytuł z „Gazety Wyborczej”: „Palisz trawę? Stracisz unijne dotacje”. Spokojnie – nie chodzi o skuręty, tylko o ciemnych polskich chłopów wypalających trawy na polach.



Onanizm i Daniszewska

Nie zważając na egzorcyzmy odprowadzane przez PiS, szatani nadal grasują po Warszawie. Mają postać niedogolonego prezydenta stolicy Trzaskowskiego i jego zastępcy Rabeja. Chodzą te diabły po żłobkach i pokazują katolickim niemowlętom, jak należy się onanizować zarówno prawą, jak i lewą ręką. Po wytrysku prezydenci sądzą po kątach śmierzące gender. Gdyby nie ci dwaj, to oeski modliłyby się, zamiast brandzlować.

Moralizuje cała wschodnioeuropejska polska prasa. „Wyborcza” wypuszcza tygodniowy dodatek nazwany „Gazetą Świąteczną”, ponieważ ukazuje się on w szabas. Wzrost wydanie z ubiegłego tygodnia i czuję, jak dobro mnie zalewa. Pan Paweł Droźniak naucza, że nieetyczne jest szybkie jeżdżenie samochodem pod wpływem popędów i kompleksów. Cnotliwi w ogóle nie mają w rodzinie auta, lecz pociąg do autobusu.

Prof. Magdalena Środa swój feminizm posuwa do takiej skrajności, że bicie kobiet ogłasza niemoralnym, nawet wtedy gdy samiec leje własną żonę. Rodzina – naucza Środa – nie jest złem z założenia. Musi jednak kochać się, zamiast być świętą. Odmiennym zdaniem społeczeństwa bicie żon i innych nałożnic nie wyklucza jednak miłości, ale ją wyraża.

„Gazeta” uznaje za nieetyczne prześladowanie Romów jako zbiorowości. Do zabijania pojedynczych Cyganów nie odnosi się, pozbawiając nas w tym względzie orientacji moralnej.

Moją żonę Daniszewską to różni od prasy, że moralizuje nie słowem, ale czynem. W naszym Konstancinie stoją pałace i wypasione wille. Właściciele wydają majątek na ich wymyślne fasady. Następnie zasłaniają je przed oczami przechodniów i przyjezdnych. Sądzą przy ogrodzeniach wysokie, gęste żywopłoty lub tuje albo siedziby



zasłaniają, wplatając blachę w prześwitujące płoty.

Dotychczas w całych dziejach pałacowa część ludzkości budowała swe wyniosłe siedziby, żeby zaimponować hołocie. Polak przeciwnie – pragnie imponować tylko sam sobie.

Nasz drewniany płot ma ponad ćwierć wieku, więc butwieje. Zamiast grodzić się nowymi deskami, Daniszewska wsadza w przesła bardzo przezroczystą siatkę, przed którą od strony naszego ogrodu ustawia kwiatną instalację. Przechodnie przystają i gapią się na ogród i dom. Obojętnie fotografują posiadłość komórkami. Zmotoryzowani nawet przystają w tym celu. Żona moralizuje więc sąsiadów swoją otwartością. I zadziwia szwendającą się ludność. Liczy na to, że wzięcie prześwitów wytworzy modę przeciwstawną wobec zasłaniania domów, ogrodów, baraszkujących bachorów i kopających grillów. Wzywa ona: odstońcie, co się da.

Wierzy, że pod jej wpływem żony, córki, mężowie i synowie pałaców nawet zaczną chodzić nago po swoich ogrodach, wypinając genitalia tak jak Trzaskowski i Rabej w żłobkach. Demonstrując, że nie mają nic do ukrycia.

Daniszewska bezgłośnie głosi też styl konsumpcji przeciwstawny panującemu. Nie wydawajcie – powiada – swych nadmiernych pieniędzy na przyjęcia, podróże, samochody, na stroje, operacje plastyczne i biżuterię. Wyrzućcie forsę na szybko więdnące kwiaty. Okażecie tym pogardę wobec swojego bogactwa. Nauczycie tym biedaków, że nie warto zazdrościć zamożności ani cieszyć się z pięciu danin Kaczyńskiego, wyrażając to swoje na nie łakomstwo głosowaniem na PiS.

Oto etyczne przesłanie Daniszewskiej, z którego całej rozciągłości ta szabesgojka sama nie zdaje sobie sprawy.

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRASA ŚNIADANIOWA



■ **Piosenkarka Doda** została przesłuchana w sprawie o szantażowanie sekstaśmą byłego narzeczonego **Emila H.** Wokalistce udało się wywołać niezwykłą jak na Polskę reakcję – wszyscy trzymają kciuki za Araba.

■ **Taksówkarze** zaatakowali taksówki niebiorące udziału w proteście. Taksówkarz taksówkarzowi taksówkarzem.

■ **Prezydent Duda** poprosił nauczycieli, aby młodzież mogła zdać egzaminy gimnazjalne. Nauczyciele niech protestują w wakacje.

■ **Portal Fronda.pl** apeluje, aby celibat w Kościele pogłębiać, a nie znosić. Zamiast dzieci gwałcić, można je składać w ofierze.

■ **Episkopat Polski** podkreślił, że nie ma podstaw prawnych, aby religia odbywała się na pierwszych bądź ostatnich godzinach lekcyjnych. Słusznie, diabeł w dzieci wstępuje w porze obiadu.

MARTA M.



Dokończenie ze str. 1

W czasie procesu rekrutacji oraz później, gdy już pełnił służbę, Wojciech Janik podlegał rutynowym badaniom przez lekarzy psychiatrów w szpitalu MSWiA, którzy nie potwierdzili u niego żadnych zaburzeń psychicznych.

Przebywanie na zwolnieniu lekarskim z powodu zespołu stresu pourazowego nie oznacza, że pacjent cierpi na zaburzenia psychiczne i stanowi nadużycie ze strony osób ujawniających takie informacje. Dodatkowo, wymagane prawem, psychiatryczne badania lekarskie przeprowadzone zostały u Wojciecha Janika w momencie rozpatrywania wniosku o wydanie poświadczenia bezpieczeństwa przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego w roku 2016. Postępowanie ABW zakończyło się wydaniem poświadczeń bezpieczeństwa o klauzuli »NATO Cosmic Top Secret« oraz »Tres Secret UE/Eu Top Secret«. Poświadczenia te zostały wydane w dniu 23 listopada 2016 r.

5. Nie jest prawdą, że były funkcjonariusz Centralnego Biura Antykorupcyjnego Wojciech Janik sporządził notatkę dotyczącą tuszowania materiałów kompromitujących polityka PIS wówczas, gdy »przesądzono« było jego odejście ze służby.

Przeciwnie, pierwsza notatka powstała w styczniu 2018 r., kolejna 14 maja 2018 r. Natomiast wysłuchanie w sprawie wszczętego postępowania kontrolnego odbyło się dopiero 15 maja 2018 r., tj. po fakcie sporządzenia notatek oraz poinformowaniu szefa CBA o nieprawidłowościach. Decyzja o cofnięciu poświadczenia bezpieczeństwa została wydana dopiero 29 czerwca 2018 roku, tj. po odejściu ze służby.

W momencie sporządzenia notatek nie mogło być przesądzone, czy zostanie Wojciechowi Janikowi odebrane poświadczenie bezpieczeństwa, ponieważ nie było jeszcze wysłuchania w sprawie ani też nie zakończono postępowania.

6. Nie jest prawdą, że był funkcjonariusz Centralnego Biura Antykorupcyjnego, Wojciech Janik, wniósł uwagi do protokołu otwarcia sejfu kilka miesięcy po jego otwarciu.

Przeciwnie, uwagi te zostały wniesione niezwłocznie. Ponadto Wojciech Janik o kilkukrotnym otwarciu szafy metalowej w ogóle nie został poinformowany. Funkcjonariusz nie uczestniczył w otwarciu szafy metalowej również z uwagi na nierozpatrzenie wniosku o udział funkcjonariuszy krajowej władzy bezpieczeństwa w tym otwarciu».

Warto dodać, że wystąpienie zespołu stresu pourazowego (które nie oznacza choroby psychicznej) mogło mieć związek ze służbą wojskową Janika, który z wojska trafił do Straży Granicznej, a następnie, w 2016 r. do CBA.

Jestem niepedofilem...

POŚWIADCZENIE BEZPIECZEŃSTWA NR E0184516T

Na podstawie art. 28 pkt 1 w związku z art. 11 ust. 2 i 3 ustawy z dnia 5 sierpnia 2010 r. o ochronie informacji niejawnych (Dz. U. z 2016 r., poz. 1167), po przeprowadzeniu na wniosek

Szefa Centralnego Biura Antykorupcyjnego

przez

Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego

00-993 Warszawa, ul. Rakowiecka 2A

poszerzonego postępowania sprawdzającego, stwierdza się, że Pani (Pan)

Wojciech JANIK, 31.01.1980 r.

daje rękojmię zachowania tajemnicy w zakresie dostępu do informacji niejawnych

Unii Europejskiej

oznaczonych klauzulą:

CONFIDENTIEL UE/EU CONFIDENTIAL	- na okres do:	2026.11.23
SECRET UE/EU SECRET	- na okres do:	2023.11.23
TRES SECRET UE/EU TOP SECRET	- na okres do:	2021.11.23

Warszawa, dnia 23.11.2016 r.

POŚWIADCZENIE BEZPIECZEŃSTWA NR N0211516CTS

Na podstawie art. 28 pkt 1 w związku z art. 11 ust. 2 i 3 ustawy z dnia 5 sierpnia 2010 r. o ochronie informacji niejawnych (Dz. U. z 2016 r., poz. 1167), po przeprowadzeniu na wniosek

Szefa Centralnego Biura Antykorupcyjnego

przez

Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego

00-993 Warszawa, ul. Rakowiecka 2A

poszerzonego postępowania sprawdzającego, stwierdza się, że Pani (Pan)

Wojciech JANIK, 31.01.1980 r.

daje rękojmię zachowania tajemnicy w zakresie dostępu do informacji niejawnych

Organizacji Traktatu Północnoatlantyckiego

oznaczonych klauzulą:

NATO CONFIDENTIAL	- na okres do:	2026.11.23
NATO SECRET	- na okres do:	2023.11.23
COSMIC TOP SECRET	- na okres do:	2021.11.23

Warszawa, dnia 23.11.2016 r.

Protokół z rozmowy kadrowej w sprawie przeniesienia funkcjonariusza Wojciecha Janika na określone stanowisko służbowe po upływie okresu pozostawania w dyspozycji Szefa CBA

W dniu 23 maja 2018 r., Dyrektor Biura Kadr i Szkolenia CBA, w obecności agenta specjalnego Wydziału Spraw Osobowych BKIS CBA przeprowadził rozmowę z p. Wojciechem Janikiem funkcjonariuszem pozostającym w dyspozycji Szefa CBA od dnia 23 stycznia 2018 r.

W trakcie przedmiotowej rozmowy wyżej wymieniony funkcjonariusz został poinformowany o tym, że Szef CBA postanowił przenieść w/w funkcjonariusza z dniem 24 maja 2018 r. na stanowisko służbowe »agent specjalny« w Wydziale Informacji i Edukacji Antykorupcyjnej Gabinetu Szefa CBA ze stawką uposażenia zasadniczego w wysokości 6500 zł (słownie: sześć tysięcy pięćset złotych), oraz premią w wysokości 10% uposażenia zasadniczego.

Funkcjonariusz Wojciech Janik został pouczony o treści art. 58 ust. 3 ustawy o Centralnym Biurze Antykorupcyjnym, z którego wynika cyt. »Po upływie okresu pozostawania w dyspozycji, o którym mowa w ust. 2, funkcjonariusza przenosi się na określone stanowisko służbowe, a w przypadku niewyrażenia przez niego pisemnej zgody na przeniesienie na to stanowisko, funkcjonariusza zwalnia się ze służby z zachowaniem uprawnień przewidzianych dla funkcjonariuszy zwalnianych na podstawie art. 64 ust. 2 pkt 4, chyba że spełnia warunki do zwolnienia ze służby na korzystniejszych zasadach«.

Funkcjonariusz poinformowany o powyższym zamierze oświadczył, co następuje:

W protokole dokonano następujących poprawek i uzupełnień:

Na tym protokół zakończono i po osobistym odczytaniu przez funkcjonariusza Wojciecha Janika podpisano.

23.05.2018 Dyrektor Biura Kadr i Szkolenia BKIS CBA

23.05.2018 Wojciech Janik

a także do certyfikatów bezpieczeństwa NATO i UE.

Drugi dokument to standardowy w kadrach mundurowych kwit potwierdzający odbycie rozmowy służbowej dotyczącej przeniesienia na inne stanowisko. Poza tym dokumentem istnieje nagranie tej rozmowy. Protokół z

rozmowy kadrowej

oraz nagranie dowodzą, że jeszcze 23 maja 2018 r. proponowano Janikowi przeniesienie na inne stanowisko w CBA. Z zapisów tych jasno też wynika, że to Wojciech Janik nie zgodził się na propozycję, co było jednoznaczne ze zwolnieniem się ze służby. Janik pisze: »Nie wyrażam zgody na przeniesienie proponowane przez Szefa CBA«. Przypomnijmy, że 14 maja 2018 r., 9 dni przed tą rozmową, Janik skierował do szefa CBA Ernesta Bejdy i do premiera Mateusza Morawieckiego raport opisujący aferę podkarpacką i udział w niej marszałka Marka Kuchcińskiego. Czy gdyby opisane w raporcie informacje były wykwestionowane, to na polecenie CBA proponowano by agentowi stanowisko »agenta specjalnego w Wydziale Informacji i Edukacji Antykorupcyjnej Gabinetu Szefa CBA«? Czy chory psychicznie przestępca i szantażysta – jak go dziś przedstawia pisowska propaganda – w ogóle miał prawo nadal pracować w CBA?

Wiele osób uważa, że nie jest możliwe, żeby służby posunęły się aż tak daleko.

Nie wyobrażają sobie, aby świadka poważnych przestępstw dezawuować, używając do tego instytucji państwa. Nie mieści im się w głowie, żeby reprezentujący rząd minister kłamał publicznie w Sejmie. Faktycznie trudno w to uwierzyć. Nieco łatwiej, gdy uprzytomnimy sobie, że w sprawie największej katastrofy lotniczej, jaka zdarzyła się w Polsce, obecnie rządzący

politycy kłamią

bezczelnie od dziewięciu lat. Na koniec muszę się odnieść do najczęściej zadawanego mi w ostatnich dwóch tygodniach pytania: Czy jest taśma? Odpowiedź brzmi: Wszystko wskazuje na to, że jest. I to niejedna. Ja jej na razie nie mam.

andrzej.rozenek@redakcja.nie.com.pl

Redakcja »NIE« dotarła także do

dwóch dokumentów,

które potwierdzają wersję agenta Janika. Obydwa reprodukowujemy.

Dokument pierwszy to poświadczenie dostępu do informacji niejawnych wydane przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Z dokumentu tego wynika, że w listopadzie 2016 r. Janik otrzymał wszystkie możliwe

poświadczenia bezpieczeństwa, w tym najwyższe w Europie »EU Top Secret« i najwyższe w NATO »Cosmic Top Secret«. To oznacza, że zgodnie z procedurą Janik musiał przejść bardzo wnikliwe badania dotyczące stanu zdrowia, kontaktów, ewentualnych nałogów, życia osobistego, stanu finansów itp. Z pewnością sprawdzono, jakie recepty Janik w ostatnich latach realizował, na co się leczył, z kim się kontaktował, ile miał pieniędzy, skąd pochodzili

i na co je wydawał, gdzie podróżował, a nawet co robił w internecie. Gdy chodzi o poświadczenia bezpieczeństwa europejskie i natowskie, żartów nie ma. Procedury są bezwzględnie przestrzegane. O takich poświadczeniach, jakie otrzymał Wojciech Janik przez lata mógł tylko pomarzyć Antoni Macierewicz, któremu w 2008 r. służby cofnęły poświadczenie bezpieczeństwa upoważniające do dostępu do informacji niejawnych oznaczonych klauzulą »ściśle tajne»,

TRYBUN@
LUDZI

Lepiej być świnia czy nauczycielem?

Facebook

Szymon Rozum: Świnia, ponieważ świnia jest w stanie wyżywić pięćosobową rodzinę.

Alex Korman: A może być nauczycielem, a po godzinach pracy świnia?

Konstancja Mughal: Najlepiej być krową z sześciorgiem dzieci. Nawet dobrze by było.

Paweł Ciesielski: Lepiej być świnia, bo świnia ponoć prosi się 3 razy do roku. A 3 razy pięć to ho, ho, ho...

Tomasz Bućko: Cemu nie wszystko naraz? Ryszard Proksa znalazł sposób na połączenie obu stanowisk.

Maria Kowalska: Kaczyński zapomniał o baranach, a to przecież barany głosują na PiS!

Basia Rutkowska: Salatkózerną posłanką – i nauczycielką, i świnia w jednym.

Teresa Sienkiewicz: Świnia nie lubi siana.

Peter Dżordż: Świnia – świnie są u koryta!

Kacper Dornig: Kurwa kurwie... Znaczący się świnia świnie nie naświni.

Marcin Jarkiewicz: Najlepiej być kaczorem.

Strona www

Obywatel Monte Christo: Świnia w ciąży mnogie.

Jan Kiel: Świnia, ale tylko w PiS-ie albo w »Solidarności«.

MurarzZbrojażAkrobata: Jak wiadomo, tylko świnie siedzą w kinie. Zwłaszcza że z pensją nauczyciela na wyjście do kina średnio można sobie pozwolić.

Dwajedentrysiedem: Każdy nauczyciel to świnia, ale nie każda świnia to nauczyciel.

hakuna matata: Można być dwa w jednym. Czyli katechetą.

Forum

st111: Nauczyciele powinni się o dopłaty do Unii zgłosić, bo skoro świniom się należy.

Killashandra Ree: Świnia być może i lepiej, ale zdecydowanie krócej.

Canislupus: Krową, mają wyższą stawkę.

IroB: Warto być świnia, choć nie zawsze się to opłaca. Opłaca się być nie-świnia, ale nie warto.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika »NIE« i Facebooka.



Sobotnia konwencja Koalicji Europejskiej miała zaprezentować wyborcom ostateczne powody, dla których ów „wielki wybór” powinien paść właśnie na tę koalicję. Mam wiadomość dla liderów zjednoczonej opozycji: wyborcy już wiedzą, że PiS rządzi. Warto byłoby powiedzieć coś więcej.

1.

Grzegorz Schetyna ledwo zdążył wymienić nazwiska zgromadzonych w sali „współliderów”, a już zaczął mówić o PiS-ie – i nie skończył do końca wystąpienia. „Czy Polska będzie państwem jednej zachłannej partii, państwem partyjnym na wzór Rosji Putina, państwem, gdzie prokuratora powiadomiona o wzięciu 50 tysięcy w kopercie nawet nie przesłuchuje podejrzanego, bo jest szefem partii rządzącej, państwem, którym kieruje widzimisię przywódca partyjnego” – i tak dalej... Lider PO nie zapomniał o żadnym grzechu PiS-u – od obrażania flagi unijnej, przez sprowadzanie węgla z Rosji, aż po walkę z *in vitro*. „Chaosowi ich rządów” przypisał nawet zanotowany „po raz pierwszy od 1989 roku” spadek długości życia Polaków – co, nawiasem mówiąc, jest nieprawdą, bo takie wahnięcia były w latach 1991, 1999 i 2015, a przyczyny wysokiej śmiertelności Polaków w ostatnich dwóch latach wiążą się przede wszystkim z niską jakością powietrza.

Schetyna postraszył wyborców polemitem, przypomniał niedoszły drapacz chmur na Srebrnej i skok na spółki skarbu państwa, jad w telewizji publicznej i antyeuropejskość obecnej władzy – generalnie zrobił wszystko, żeby w sercach słuchaczy zasiać lęk i obrzydzenie. Kłopot w tym, że nie zasiał w nich nic innego. Monolog poświecony „onym” tchnął frustracją, zawziętością i nie miał grama pozytywnego przekazu.

2.

W ślad Schetyny poszli inni „liderzy”. Władysław Kosiniak-Kamysz, który na ogół jest dość niezły w byciu pozytywnym, zaczął od „wezwania do Kadzidla”, co musiało zabrzmieć dość dziwnie w uszach tej większości Polaków, która nie żyje z kalendarium PAP w rękę i nie wiedziała, że w tym samym dniu mazowiecka konwencja PiS odbywa się akurat w miejscowości o nazwie Kadzidło.

Kosiniak-Kamysz podjął nieco bardziej merytoryczną niż Schetyna próbę polemiki z rządami Prawa i Sprawiedliwości, trafnie wytykając mu wykorzystanie, ażeby 29 proc. środków europejskich – kłopot w tym, że ogólne wrażenie było takie samo: zagłosujcie na „nas”, bo „oni” to chuje. W kwestii przekazu konstruktywnego lider ludowców miał do zaoferowania „demokratyczny, patriotyczny, europejski rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej”.

Całkiem zielona

Jeśli najlepsze wystąpienie pośród „liderów zjednoczonej opozycji” ma nieznane nikomu dziewczę z nieistniejącej partii – to jest powód do niepokoju.



3.

Wystąpienie Włodzimierza Czarzastego było nie tyle nawet o PiS-ie, ile do PiS-u – przeszywane wygłaszanym knajackim tonem „pytaniem do rządzących” brzmiałym: „Mówi wam to coś?”. „Opluwanie ludzi za to, że mówią po niemiecku, że są Żydami, gejami, imigrantami, że są prawosławni, że trzymają się za ręce ostentacyjnie, że się kochają ostentacyjnie, mówi wam to coś?!”. Czarzasty pokusił się nawet o kilka elementów programu pozytywnego – pakiet zapewniający równe szanse rozwoju każdego europejskiego dziecka, pakiet świadczeń dla osób starszych pozwalający nie tylko na godne życie, ale także np. na podróżowanie po Europie – ale natychmiast rozbroił tę minę, podkreślając, że są to jego „marzenia”, które mają być zrealizowane „wtedy kiedy to będzie możliwe, nie w sposób populistyczny”.

Jakkolwiek ujmuje mnie wizja Czarzastego, jako romantyka ze wzrokiem utkwionym w przyszłości, to od lidera lewicy oczekiwałam odwagi nie tylko w marzeniu, ale także w wyznaczaniu celów programowych i ich realizacji. Tymczasem jeśli chodzi o dyskusję programową, oferta szefa SLD brzmiała: „Nie pytajcie się nas, czy

mamy lepszy, czy gorszy program niż PiS: my mamy tolerancję, my mamy uśmiech, mamy w sobie żar, chcemy wygrać”. Nazwijcie mnie ciotą rewolucji, ale ja chciałabym wiedzieć, jaki program ma formacja, na którą mam głosować. Uśmiechnięty żar to trochę mało.

4.

Katarzyna Lubnauer nawet nie usiłowała udawać, że przechodząca do historii Nowoczesna ma wyborcom do zaproponowania coś poza bon motem na temat „pisologii” i jej „trzech filarów: hipokryzji, dzieł społecznej polityki i redefiniowania kluczowych dla przyszłości demokratycznej słów”. Było o „Misiowiczach i Wojciechowskich”, o nagrodach dla rządu Szydło, nieopłaconych usługach Birgfellnera, a także o Jarosławie Kaczyńskim, który „nie potrafi funkcjonować w polityce bez wrogów”. To prawda, ale kłopot polega na tym, że nie jest w tej nieumiejętności osamotniony. Platforma Obywatelska i jej obecne przystawki zatraciły zdolność funkcjonowania w polityce bez Kaczyńskiego. Każda wypowiedź, każde wydarzenie, każda aktywność opo-

zycji osnuta jest wobec lidera PiS, jego formacji i gorącej nienawiści, jaką do niego żywią.

5.

Jeśli opozycja rzeczywiście chce wygrać z PiS-em, musi zrozumieć tę prostą prawdę, że jest to obsesja, której większość Polaków nie podziela. Ci, którzy nienawidzą PiS-u jak Schetyna i Lubnauer, i tak zagłosują na Koalicję Europejską, o ich głosy koalicja tak naprawdę nie musi się starać. Ale w każdym sondażu ujawniają się osoby niezdecydowane – w ostatnim miesiącu było ich od 4,6 do nawet 7,5 procent. Ponad połowa Polaków nie tylko nie głosuje, ale także otwarcie to *désintéressement* deklaruje – w sondażu Ibris z 18 marca tylko 49,3 procent badanych zadeklarowało, że pójdzie głosować; w sondażu Instytutu Badań Spraw Publicznych z 25–27 marca było ich 49,4 procent.

Spora część na pewno zgagała, uważając, że do olania wyborów przyznawać się nie wypada, ale mimo efektu ankierskiego, mimo histerycznej temperatury politycznego sporu, który, zdawałoby się, nie powinien pozostawiać nikogo obojętnym, ponad 50 procent Polaków mówi wprost: pocałujecie się w dupę z tymi wyborami.

To do nich – niezdecydowanych i niegłosujących – musi trafić opozycja, jeśli chce pokonać władzę. Już wiadomo – po 3,5 roku sondaży wskazujących niezachwianą przewagę PiS, mimo wszystkich pisowskich zbrodni przeciwko liberalnej demokracji – że nie robi tego, wykrzykując w kółko te same antypisowskie hasła. Szaleństwo to wielokrotnie powtarzanie tej samej czynności z nadzieją na inny efekt – powiedział ponoć Einstein. Jeśli tak, to liderzy opozycji są jebnięci jak Zwiariowany Kapelusznik.

Gdy Schetyna mówi, że PiS „nic nie zrobił dla ciężko pracujących Polaków”, nie trafia do ludzi, którzy dostali 500 zł na dziecko ani do tych,

którzy dostali 14,50 zł stawki godzinowej na umowach śmieciowych. Dla nich PiS coś zrobiło, bardzo wymierne. Co nie znaczy, że są mu wdzięczni – wdzięczność jest stanem, którego Polacy nie znoszą – ale nie są też skłonni kupować opozycyjnej retoryki, która jest w tak jaskrawym konflikcie z ich osobistym doświadczeniem. Mogą za władzą nie przepadać, ale też nie nienawidzą jej z żarem, jaki trawi „liderów opozycji” i za cholery nie wiedzą, dlaczego mieliby się tego wstydzić.

6.

Dlatego jedyne sensowne wystąpienie na sobotniej konwencji miała Małgorzata Tracz z Zielonych. Ponieważ w ogóle nie mówiła o PiS-ie i jego podłości. Mówiła o wizji Polski, jaką jej partia chce zaoferować wyborcom. Polski aktywnie walczącej ze zmianami klimatu, stawiającej na tanią i czystą energię z wiatru i słońca, produkującej zdrową żywność, przestrzegającą praw zwierząt. Polski z otwartym i równym społeczeństwem, szanującym podstawowe prawa obywateli, a także ich odmienności, i zapewniającym wszystkim poczucie bezpieczeństwa. Polski z godnie wynagradzanymi pracownikami usług publicznych, od nauczycieli po strażaków; z powszechnym, dostępnym transportem publicznym, wysokiej jakości edukacją, w tym szkoleniem zawodowym, uczciwym dostępem do dobrze płatnych miejsc pracy. Polski, w której młodzi ludzie ze świeżym spojrzeniem, pokolenie wychowane po 1989 r., konstruktywnie współpracują z doświadczonymi działaczami z pokoleń poprzednich – tak jak ona z drugim współprzewodniczącym Zielonych Markiem Kossakowskim, starszym od niej o 34 lata.

To, co warto docenić w tym monologu, to fakt, iż „koszefowej” Zielonych udało się zapakować do niego wszystkie podstawowe wartości lewicowych formacji proekologicznych, a jednocześnie nie powiedzieć niczego, co ktokolwiek inny ze „zjednoczonej opozycji” chciałby otwarcie zakwestionować. Co było niezwykle zręczne, wzięwszy pod uwagę programową niekompatybilność formacji składających się na Koalicję Europejską. A przede wszystkim: pozytywna, postępową, ekologiczną Polską Małgorzaty Tracz jest Polską sympatyczniejszą niż zapieniona z beznadziejności do władzy Polska Schetyna, Czarzastego i Lubnauer. Jest Polską, na którą mogłabym bez obrzydzenia zagłosować, gdybym potrafiła uwierzyć, że Koalicja Europejska traktuje tę Polskę poważnie.

Przekonanie nas do tego jest najważniejszym zadaniem stojącym dziś przed „zjednoczoną opozycją”.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA
awl@redakcja.nie.com.pl

Mądrość z historii: towarzyszy Loga-Sowiński, będąc przewodniczącym Centralnej Rady Związków Zawodowych, był jednocześnie członkiem Biura Politycznego KC PZPR – podobnie jak towarzyszy Kruczek. Towarzysz Miodowicz także należał do politbiura, kierując OPZZ. I to się sprawdzało – partia zawsze wiedziała, że może polegać na związkach. Może więc towarzysze z obecnej siły przewodniej przestali się pieprzyć w subtelności i wciągnęli Piotra Dudę na członka Rady Politycznej PiS? Wtedy można by było przestać udawać, że „Solidarność” protestuje, a rząd coś z nią negocjuje i po prostu załatwić wszystko na Nowogrodzkiej. Czyż nie byłoby prościej?

Istnieje taki termin, jak „złote związki zawodowe”. To organizacje quasi-związkowe; działające na zlecenie pracodawcy kolaboranci, którzy – przeciwieństwo dla idei – dają dupy szefom i łamią jedność reprezentacji pracowników. Tworzenie takich związków jest niezgodne z międzynarodowymi standardami prawa pracy, ostatnio – od 1 stycznia 2019 r. – także polskie prawo wyraźnie ogranicza ich działanie poprzez zniesienie wymogu jednomyślności organizacji związkowych. Wcześniej, przez 30 lat, wystarczył jeden złoty związek, żeby uniemożliwić skuteczny protest prawdziwych organizacji związkowych przeciwko zamachom pracodawcy na prawa pracowników, np. zmianom w regulaminie wynagradzania czy zamrożeniu wypłaty z funduszu socjalnego. Żeby zablokować takie działania, konieczne było bowiem jednolite stanowisko

Żółty jak Duda

„Solidarność” – związek związany wazeliną.

wszystkich organizacji w zakładzie. „Doskonale znamy to zjawisko, kiedy jeden związek wyłamuje się ze wspólnego stanowiska pozostałych organizacji i daje pracodawcy możliwość wprowadzania zmian bez konieczności ich konsultacji” – mówił 2 lata temu Marek Lewandowski, rzecznik prasowy Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, komentując planowane wówczas przez PiS zmiany przepisów.

Jest jakaś gorzka ironia w tym, że właśnie „Solidarność” stała się żółtym związkiem na usługach potężnego pracodawcy, jakim jest pisowskie państwo.

Zwłaszcza że mogło być tak pięknie.

Piotr Duda, zanim został pieszczochem władzy, był prawdziwym związkowcem – i rzeczywistą nadzieją związku, najpierw politycznie sprostytuowanego przez Mariana Krzaklewskiego, a po-

tem już do cna przez Janusza Śniadka. Na tym tle Duda był jak wystrzał z „Aurory”. Wyrzysły, jednoznaczny, rewolucyjny. Groźny. „Przyjdzie taki czas, że ludzie wyjdą na ulice. Bogaci sądzą, że nikt ich nie znajdzie za ich murami, którymi się otoczyli. Czują się bezpiecznie i nie chcą się podzielić dobrami. Ale biedni ich znajdą” – mówił przy okazji podniesienia wieku emerytalnego przez PO. To wtedy „Solidarność” opasała Sejm łańcuchami. Warto zresztą wspomnieć, iż z tego opasanego Sejmu Karol Guzikiewicz – szef „S” w Stoczni Gdańskiej, a obecnie radny PiS – wypuścił Jarosława Kaczyńskiego. „Gdybym ja był na miejscu, to Kaczyński by nie wyszedł i kropka” – powiedział wtedy Duda. Mówił też, że za Śniadka „Solidarność” była „za blisko” PiS.

Ukształtowany przez Polskę Ludową syn ślusarza i salowej, dumny żołnierz ludowego Wojska Polskiego, który w klapie zamiast Matki Boskiej nosił znaczek 6. Pomorskiej Dywizji Powietrznodesantowej, do związku wstąpił w wieku 18 lat jako tokarz w Hucie Gliwice. 10 lat później, gdy nowy ustrój przystąpił do wykańczania tej huty,

sam znalazł drogę do kultowego wówczas programu Elżbiety Jaworowicz, gdzie bronił zakładu przed pazernym kapitalizmem. Gdy stanął na czele „Solidarności”, związek odzyskał ją i skuteczność. Wystąpił do prezydenta Komorowskiego, żeby skierował do Trybunału Konstytucyjnego ustawę przewidującą zwolnienie 10 procent pracowników administracji publicznej – i wygrał. Wystąpił do TK przeciw odebraniu dnia wolnego należącego się pracownikom za święto przypadające w weekend – i znów wygrał. Zebrał milion podpisów pod wnioskiem o referendum w sprawie wydłużenia wieku emerytalnego. 350 tys. podpisów pod projektem nowelizacji ustawy o płacy minimalnej wiążącym jej wysokość ze wzrostem PKB. Złożył do Komisji Europejskiej skargę na przepisy prawa pracy pozwalające na nadużywanie umów na czas określony. Przed Euro 2012 napisał – co mnie szczególnie uradowało – list do szefa UEFA Michela Platini, skarżąc się na łamanie praw związkowych w Biedronce, która była jednym z głównych sponsorów mistrzostw. Opierdolił Wałęsę za flirt z Mitttem Romneyem, republikańskim kandydatem na kandydata na prezydenta USA i milionerem, znanym z żywiołowej wrogości wobec związków zawodowych i praw pracowniczych. Krótko mówiąc – stosował w życiu i pracy jedyną zasadę prawdziwego związkowca: jebać, jebać, nic się nie bać.

Chłopie, coś tak pożyłki?

AWŁ

Dialogi dam w drodze do kościoła

Daniszevska: – Nie sądzisz, Wołku, że jogini powinni być trochę terapeutami?

Wołk-Łaniewska: – Nie mam czerwonego pojęcia. W ogóle nie mam zdania na temat joginów.

– Alleluja! Tego jeszcze nie było. Żebyś ty nie miała pojęcia, a także zdania na jakiś temat...

– Kiedyś chciałam chodzić na power jogę, ale wyszło na to, że się duszę własnym cyckiem.

– Czym?

– Cyckiem. W takiej pozycji, która nazywa się bodaj „pług” i polega na tym, że trzeba położyć się na ziemi i zarzucić nogi za głowę. I panna, która prowadziła zajęcia, powiedziała mi, że na to nie ma rady, w tej pozycji duży cyc dusi i tyle, to się obraziłam na jogę en général...

– Ale tam jest wiele innych pozycji.

– Niby prawda, ale nie będę jakimś wybrakowanym joginem, co głupiego pługa nie potrafi zrobić, postanowiłam. I przestałam.

– A ja zauważyłam, że mój ulubiony jogin nieco cieszy się z moich potknięć. Nie ukrywam, że trochę mnie to zabolalo.

– Bo jesteś Bardzo Wrażliwą Osobą, jak powiedziałby Kubuś Puchatek.

– Żebyś wiedziała. Choć właściwie mam to w dupie, bo przecież to on mi służy do celestnej mobilizacji. Wołku, czy ty jesteś wegetarianką lub weganką?

– Chyba cię pojebało! Najpierw mnie o jogę pytasz, teraz o weganizm? Za kogo mnie masz?

– No, właśnie mam nadzieję, że cię słusznie nie mam. Uważam, że takie myślenie o jedzeniu bądź niejedzeniu niszczy charakter. Czini nawet z niegłupiego człowieka pojeba.

– A o picciu? Bo ja ciągle myślę o picciu i niepicciu, od kiedy wino mi nie smakuje...

– O picciu to co innego.

– Kamień z serca. To co z tymi weganami?

– A nic, tak se ogólnie rozważam, a to z powodu przednówka i braku deszczu. Uwielbiam te pogodyнки, które w kółko mówią, że będzie wspaniale, bo deszczu brak. A rolnicy płaczą nad polami suchymi jak popiół. No, ale może nie płaczą, bo Kaczor da im kasę za kilka tygodni. W chuj kasy dla nich i przetwórców produktów rolnych. Najbardziej mi się podoba, jak oni wkładają te stroje ludowe.

– Prawda, że śliczne? Ja w ogóle – to refleksja po obejrzeniu „Zimnej wojny” – jestem entuzjastką ludowizny, co mnie nieco zdziwiło. Za komuny, zwróć uwagę, ludowizną należało pogardzać, bo to takie tam przyspiewki dla plebsu: „Podskoczyłam do pułapu i cyckami chlapu, chlapu” – dla jasnie państwa była kultura wysoka. A tymczasem to zajebista muzyka jest, jak się dobrze przysłuchać. I pięknoty jakie w tych kolorowych ubrankach.

– Ciekawe, czy reaktywowano Cepelię, żeby im je szyła? Bo tamte po babciach pewnie już mole zżarły. Ten Kaczor jest rzeczywiście genialnym strategiem.

GOŚKA DANISZEWSKA dokonała czynu niebywałego: pierwszy raz od sześciu lat poszła obciąć włosy do fryzjera. Okazało się, że pani Magda jest zdolniejsza od niej i jej nożyczek do paznokci. Psia lwana też udało się złapać i ostrzyc. Pod kłakami znalazł się śliczny, mały, szczupły szczeniak. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** rozpacza. Wino jej ciągle nie smakuje, a co to za wiosna bez wina?



– U kacora srebrne pióra, u kacuski złote nóżki, postój, kacko, dam ci cacko, nie postoję, bo sie boje...

– Co?

– Ludowa kołysanka o kaczorze. „Uśnijże mi, uśnij, uśnijże mi, moje dziecko, a nie zbudź się, aż o świcie. Usnę matuś wam z wieczora, tylko śpiewać mi kaczora”.

– Piękne. Zwłaszcza te srebrne pióra. Wszystko nimi przykrył, zwłaszcza nauczycieli. Choć nie, nauczycieli to byłem i trzodą. Zapomniał o baranach. Trudno, znajdują się. Szkoda, że nie jestem młodą rolniczką.

– Ależ jesteś. Przecież sama mówiłaś, że się grzebiesz w ogrodzie od rana do nocy.

– Ale chyba wiekowo się nie załapuję na dobroczynność władzy. A też bym trochę

kasy podłapała w Niewodnicy Kościelnej. Mam tam nieco gleby. Z kilkunastu jabłonek mogłabym Kaczorowi sprzedać jabłka.

– Czerwone, ale za to przekrojone na krzyż?

– Choćby. I niepryskane od trzydziestu lat. Robaki gratis.

– Gęsi za wodą, kaczki za wodą, uciekaj, dziewczyno, bo cię poboda...

– Zacięłaś się na tę ludowiznę?

– Trochę. Przyznasz, że to wszystko ma w sobie taką tajemniczą aktualność?

– Owszem. Wracając do nauczycieli: w ogólniaku, czyli liceum, moją wychowawczynią i polonistką była Pani Profesor Parkiewicz zwana „Parkietą”. Dzisiaj miałaby w dupie założenia programowe zębarki Zalewskiej. Wówczas w latach 60., w mrokach

komuny, czytała nam wiersze Baczyńskiego i innych poetów. Nie zważała na to, że byli homo i nie byli zaleceni przez komuchowskie kuratoria. Czytała i płakała. Nigdy nie mieliśmy odwagi zapytać jej o te łzy. Ponieważ była mocno starszą panną, podejrzewaliśmy, że w powstaniu warszawskim straciła narzeczonego. „Parkieta” była wybitną polonistką i mądrym pedagogiem.

– Ale nie o każdym nauczycielu za komuny można to było powiedzieć, niestety. Jak trafnie napisał ostatnio Michał Ogórek, za czasów minionych w szkole panował terror, a co bardziej wrażliwe koleżanki mdlały przy tablicy, wezwane do przekształcenia trójkąta. W co mianowicie miały ów trójkąt przekształcić, nikt nie miał pojęcia. Dziś młodzież nadal nie ma pojęcia, ale już się z tego powodu nie lęka, uważając, że lękać powinni się nauczyciele.

– Ale bywali też – przyznasz – nauczyciele wybitni. Geografii uczyła mnie córka sekretarza komitetu wojewódzkiego. Kobieta mądra, szalona i wykształcona. Do dziś pamiętam jej czarne mapy, które nauczyły mnie świata. Kiedy więc słyszę o rozmowach „ostatniej szansy”, flaki mi się przewracają. Ale też przyznaj, Wołku, że te rozmowy wyznaczono na niedzielę po dobranocce, czyli po siódmej wieczorem. Jesteś młoda, ale dobranocki zapewne jeszcze pamiętasz?

– I „Teleranek”, którego nie było, też.

– No więc obejrżeli dobranockę, posłali nauczycieli w pizdu i zagaili piękną polszczyzną. Pani Szydło powiedziała, że rozmowy powinny być w dalszym ciągu kontynuowane, a pan z wásami – ten od „Solidarności” – że dzieci nie powinny w ten spór być „włączane”. Dobrze, że to nie oni uczą moje wnuki, bo tak się, proszę państwa, nie mówi. Do szkoły, uczyć się polskiego!

– Proksa to wuefista, może se włanczać, co chce, i tak zawsze ma gwizdek w gębie, gdy obcuje z młodzieżą. A Szydło po etnografii, to może w jej lokalnej kulturze ludowej w Brzesczach lud kontynuuje dalej, a nie tak po prostu. Pod Oświęcimiem lud wytrwał.

– Skoro jesteście przy temacie edukacji: wyznam ci, że nie wiedziałam, że mój wnuk jest tak niezwykle prospołeczny. A jaką ma świadomość rewolucyjną! Żebyś wiedziała, z jakim ogniem popiera strajk nauczycieli!

– Z całym szacunkiem dla twojego wnuka, większe wrażenie zrobił na mnie Grzegorz Schetyna, gdy wykrzykiwał do nauczycieli: „Trzymajcie się, jesteśmy z wami”. I jeszcze, że „niech usłyszają od nas dzisiaj słowa otuchy i solidarności”, bo „musimy wszyscy okazać dzisiaj solidarność”. Jakże się wzruszyłam tym nagłym przypływem świadomości klasowej wspólnej z inteligentem pracującym. Chłopa już mają w postaci doktora Kosiniaka-Kamysza, jeszcze tylko robotnika im brakuje i będą mogli ogłosić nowe hasło: „Głosuj na Koalicję Europejsko – zdrowom siłom narodu”.

daniszevska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

Ministra gryzą psy

Prawie nikt nie zainteresował się konferencją prasową w Sejmie trzech byłych funkcjonariuszy Komendy Miejskiej Policji w Białymstoku. My się zainteresowaliśmy.

Poza ogólnie znanymi faktami niepokorni policjanci rzucili 5 kwietnia garść informacji, które wymagałyby upowszechnienia ku chwale ojczyzny i wiceministra spraw wewnętrznych i administracji Jarosława Zielińskiego.

Najbardziej rozmowny z całej trójki był Wojciech Fiłonowicz. Były funkcjonariusz nie ukrywał rozgoryczenia z powodu podwójnej miary, jaką stosuje się wobec zwykłych psów i kadry kierowniczej.

– Jeśli sprawa dotyczy policjanta z ulicy – sierżanta, posterunkowego – zapadające kary są bardzo surowe. Jeśli kara dotyczy środowiska oficerskiego, sprawy są zamiatane – stwierdził.

Przywołał przykład obecnego naczelnika prewencji Komendy Wojewódzkiej Policji w Białymstoku, dobrego znajomego generała Daniela Kołnierowicza (szefa podlaskiego garnizonu) z czasów, gdy Kołnierowicz

był pierwszym zastępcą komendanta białostockiej Komendy Miejskiej Policji.

Sprawa dotyczy głośnego lokalnie pijaństwa z jesieni 2013 r. Główny aktor tego wydarzenia był wówczas szefem wydziału patrolowo-interwencyjnego komendy miejskiej.

– Gdy Maciej Zakrzewski biegł półnagi po centrum Białegostoku, nietrzeźwy wbiegał pod samochody, a wielu policjantów widziało monitoringu wydania tego monitoringu – opowiadał Fiłonowicz. – Zakrzewski nie poniósł żadnych konsekwencji.

Gdy odpowiadał za wycinanie konfetti dla ministra Zielińskiego, też wyszedł z tego obronną ręką i piastuje wysokie stanowisko w komendzie wojewódzkiej policji.

Nadkomisarz Zakrzewski ma się całkiem dobrze, a nawet podobno szykuje się na zajęcie stołka szefa jednej z podlaskich komend policji. To rzut beretem od Białegostoku, ale pensja wyższa i prestiż nie mały.

Jeśli te informacje się potwierdzą, to kolega Kołnierowicza trafi do powiatu, w którym wysocy samorządowcy lubią po pijaku targać się po szczękach, bić się ze sobą o serce

urzędniczki czy łamać nosy mieszkańcom własnej gminy. W tym towarzystwie Zakrzewski nikogo na pewno gorszyć nie będzie.

Były funkcjonariusz Fiłonowicz nie omieszczał też wspomnień o „wypitym” nadinspektorze Kołnierowiczu: – Z zakrapianej imprezy sam ośobiście odwoziłem go radiowozem do komendy miejskiej.

Sprawdziliśmy: ani na stronie komendy miejskiej, ani wojewódzkiej w Białymstoku nie znaleźliśmy dementi po słowach byłego policjanta.

Sam Fiłonowicz, jak stwierdził, wygrał kilka procesów z policją, ale ze służby i tak wyleciał, bo, jak stojący obok niego dwaj koledzy, zgłaszał drogą służbową wątpliwości, np. taką, żeby zrezygnować z patroli złożonych z policjantów i strażników miejskich, gdyż ci ostatni nie mają uprawnień do podejmowania działań interwencyjnych czy wypełniania dokumentacji procesowej.

Cała trójka poznała się na policyjnym dołku, gdzie zostali skierowani do pracy, po tym jak zaczęli fikać przełożonym. Jakis czas potem ukazał się głośny reportaż w TVN o tym, jaki brud i syf panują w białostockim „pe-

deoecie”, czyli „pomieszczeniu dla osób zatrzymanych”.

Podejrzanie o danie cynku niepisowskiej stacji telewizyjnej padło oczywiście na nich, zatem ich los był przesądzony.

Za Zielińskiego bowiem i jego najbardziej zaufanych kumpłi choćby cień podejrzenia, że glina pije wódkę z dziennikarzem, może doprowadzić do wydalenia ze służby. Delikwentowi przy okazji dołoży się w postępowaniu dyscyplinarnym jakieś pierdoły i mimo że do tej pory nie było do niego zastrzeżeń, a nawet był wyróżniany i nagradzany przez przełożonych, pracy będzie musiał szukać w cywilu.

Zajrzeliśmy do przykładowego sprawozdania z postępowania dyscyplinarnego, które zakończyło się dla policjanta wydaleniem ze służby. Facet wcześniej tylko przypomniał komendantowi o obietnicy, którą ten mu wcześniej złożył w sprawie podwyższenia grupy zaszeręgowania, co się wiązałoby z podwyżką pensji: „Funkcjonariusz Policji podlegający Komendantowi Powiatowemu Policji prowadził z nim rozmowę podniesionym tonem, w sposób arogancki i lekceważący, okazując przez to zupełny brak szacunku do przełożonego, używając wobec niego słów,

cyt. »wyszedł Komendant, na kogo wyszedł«, a także prowokował wymienionego przełożonego do konfrontacji fizycznej, stając gwałtownie w bliskiej odległości od niego, przyjmując charakterystyczną postawę gotowości do walki, stwierdzając przy tym, cyt. »że może się to wszystko zakończyć« oraz wypowiadając się innemu przełożonemu z komendy, używał na jego temat (komendanta powiatowego – dop. red.) obraźliwych słów, cyt. »kłamca i oszust«”. Według oskarżycieli miał złamać tym samym m.in. 21 paragraf „Zasad etyki zawodowej policjanta”, bo powinien „odnosić się do przełożonego z szacunkiem”.

Komendant powiatowy już nie jest komendantem powiatowym, gdyż ni z gruchy, ni z pietruchy objął ostatnio kierownicze stanowisko w Biurze Spraw Wewnętrznych przy Komendzie Głównej Policji. Znajome psy twierdzą, że zawdzięcza awans „ojcu dyrektorowi z Torunia”. W każdym razie jako teraz „pies na psy” dysponuje w większym zakresie narzędziami inwigilacyjnymi do tropienia malkontentów w policji pijących wódkę z dziennikarzami. W stawianiu im zarzutów i wyrzucaniu na zbyty pysk z pracy przyda się 23 paragraf „Zasad...”: „Policjant powinien dbać o społeczny wizerunek Policji jako formacji, w której służy i podejmować działania służące budowaniu zaufania do niej”.

WJK

Siódma klasa i starczy

Sznurek i główka
to szkolna wymówka.

Opinia społeczna żyje obecnie dwiema sprawami, które w jedno łączą ich bohaterowie. Lepiej powiedzieć: ofiary. Jedną z tych spraw jest tragiczna sytuacja dziecięcej psychiatrii, a drugą strajk nauczycieli. Analizując to, co się dzieje w polskiej oświacie, nie sposób uciec od wrażenia, że to sytuacja w szkołach jest jedną z przyczyn, przez które dzieci i młodzież lądują w psychuszkach.

Diagnoza Konrada

– Chciałem się zabić – mówi uczeń VII klasy, Konrad. Nieźle jak na nastolatka zbudowany i modnie ubrany, ale blade, z podkrążonymi oczami. Lekko drży, gdy o tym mówi bardzo cicho. Jest na terapii, bierze leki. Do ósmej klasy nie zdał, szkołę musiał zmienić, ale żyje. Nie patrzy w oczy, spuszcza głowę.

– Kiedy?
– Rok temu.
– Dlaczego?
– Nie wyrabiałem ze szkołą, byłem bardzo zmęczony.

– Co to znaczy „zmęczony”?
– W ciągu tygodnia mieliśmy po 4–5 kartkówek, testów i sprawdzianów, po lekcjach 2 razy w tygodniu miałem angielski, w piątek chodziłem na korepetycje z matematyki, nie dałem rady odrabiać prac domowych ze wszystkiego i chociaż się starałem, wpadały mi pały. Nawet na siłownię przestałem chodzić, sport uprawiać. Siły nie było.

– To normalne w szkole w tym wieku.
– Nie wiem, co jest normalne. Już pod koniec się nie uczyłem, bo nie dawałem rady, odpuściłem to. Ale mam koleżanki, co mdlały z przemęczenia... – Konrad nie wytrzymał napięcia, w maju podciął sobie żyły. Znalazła go siostra, nie domknął drzwi do łazienki. Ciął nieudolnie i płytko, ale blizny zostaną na zawsze. Zaslania je bransoletkami z rzemyszków. Konrad to ofiara deformy edukacji przeprowadzonej według pomysłu minister Anny Zalewskiej.

Diagnoza rzecznika

Uczniowie klas siódmych – najbardziej dotknięci pisaną na kolanie reformą edukacji likwidującą gimnazja, którą zaproponował rząd PiS, a podpisał Andrzej Duda – w zeszłym roku masowo pisali skargi do ówczesnego Rzecznika Praw Dziecka Marka Michalaka. Temat skarg: przeciążenie nauką. Rzecznik zlecił opracowanie raportu o sytuacji tej grupy uczniów; sytuacji, która nawet obserwowana okiem laika wydaje się tragiczna. Jedynym zauważalnym skutkiem likwidacji gimnazjów jest to, że 3-letni program uczniowie, ich rodzice i nauczyciele przerobić muszą w 2 lata, co dokładnie pokazało opracowanie. Bez dobrych pomocy naukowych, podręczników, metodyk, bo tych się zwyczajnie nie da opracować na zadowalającym poziomie w kilka miesięcy.

W badaniach do raportu wzięło udział 3328 uczniów z klas siódmych, 617 rodziców takich uczniów, 959 nauczycieli i 76 dyrektorów podstawówek. Sprawdzono, jak potrzeby uczniów takich jak Konrad były respektowane w roku szkolnym 2017/2018.

Uczniowie i ich rodzice zgłaszali kolejno: nadmiar nauki (80 procent uczniów i 78 procent rodziców), przeciążenie pracami domowymi (41 i 36), sprawdzianami (30 i 24) i kartkówkami (29 i 15 procent). Ponad połowa dyrektorów szkół nie udzieliła odpowiedzi na pytanie o przyczyny problemów uczniów klas siódmych, co raczej źle świadczy o poziomie inteligencji dyrektorów, znajomości problemów szkół, którymi zarządzają, ale i o poziomie zwyczajnej ludzkiej empatii. Chyba że pomijali to pytanie ze strachu przed utratą stołka.

Diagnoza belfrów

Nauczyciele pracujący bezpośrednio z uczniem byli za to doskonale zorientowani: mieli podobne refleksje jak dzieci i ich rodzice. 48 procent belfrów uważa, że program opracowany dla przedmiotów których uczą, jest zbyt obszerny. Jeżeli chodzi o język polski, za zbyt bogaty w treści



Fig. MIROSŁAW HAJNOS

uważa go 75 procent polonistów. Podobne zdanie o nauczanych przedmiotach mają nauczyciele historii (program krytykuje 75 procent historyków), geografii (64), matematyki (62) i angielskiego (59 procent). Nauczyciele w badaniu wprost przyznali, że nie są w stanie przerobić całości treści programowych podczas zajęć. Ci, którzy poddali się badaniu, wskazali, że na lekcjach realizują 60 proc. materiału. Zatem według szacunków samych nauczycieli 40 proc. podstawy programowej uczniowie muszą przyswoić sobie w domu, z rodzicami lub samodzielnie, co jest kompletnym absurdem, bo ani rodzice, ani tym bardziej dzieci podstawy programowej nie znają i znać nie muszą: od tego przecież jest szkoła!

Diagnoza rodziców

Spostrzeżenia nauczycieli i uczniów potwierdziła zdecydowana większość rodziców: 91 procent zapytanych o tę kwestię stwierdziło, że ich dzieci poświęcają na naukę więcej czasu niż w latach ubiegłych. Zdaniem rodziców dzieci w domu uczą się minimum 3 godziny dziennie w dni powszednie i 3,5 godziny w weekendy. Ponad 60 procent rodziców zauważyło, że nauczyciele zadają dzieciom zbyt dużo prac domowych: gdzieś trzeba upchnąć 40 proc. podstawy programowej nieprzerobionej w szkole. 46 procent rodziców stwierdziło, że ich dzieci zrezygnowały z uczestnictwa w zajęciach rozwijających zainteresowania ze względu na brak czasu spowodowany nadmiarem nauki i zadawanych prac domowych.

Diagnoza uczniów

Prawie połowa uczniów klas siódmych w zeszłym roku nie rozumiała treści prezentowanych na lekcji; w największym stopniu dotyczyło to przedmiotów ścisłych, czyli matematyki (54 procent), fizyki (53) i chemii (38 procent). Wymienione przedmioty są zazwyczaj niezrozumiałe dla młodych umysłów, ale to niezrozumienie nigdy nie było tak duże. Może być to efekt zwykłego zmęczenia i przeciążenia umysłowego – przedmioty ściśle, jak nazwa wskazuje, posiadają ściśle reguły i wymagają skupienia oraz uwagi, a zmęczenie nie sprzyja pamiętaniu o zamianie plusa na minus przy przenoszeniu cyfry na drugą stronę znaku równości.

Ogólne wnioski z badania? 45,9 procent uczniów szkoła kojarzy się ze zmęczeniem, podobnie w przypadku zadawanych prac domowych, które ze zmęczeniem wiąże 70 procent dzieci. Ankietowani uczniowie określili, że w tygodniu przygotowują się średnio do dwóch–trzech sprawdzianów oraz trzech do pięciu kartkówek, czyli Konrad nie kłamał.

Były rzecznik przedłożył wnioski z badania minister Zalewskiej. W oficjalnej odpowiedzi MEN odpisało, że nie jest ono reprezentatywne, bo objęło za małą liczbę uczniów, a do tego nie nawiązuje do innych analiz dotyczących edukacji. O tym, jakie inne badania ministerstwo miało na myśli w sytuacji, gdy to konkretne było pierwszym badaniem po reformie i miało charakter interwencyjny, pismo milczy. „**Należy podkreślić, że głównym celem działań podejmowanych w obszarze polityki oświatowej realizowanej przez Ministerstwo Edukacji Narodowej jest sprawnie działający system oświaty, w konsekwencji wyeliminowanie i skuteczne zapobieganie niekorzystnym zjawiskom przez wdrożenie systemowych mechanizmów wzmacniających warunki**

nauki i opieki w szkole” – napisano w oficjalnym piśmie. Jak to ministerstwu wychodzi, widać mniej więcej od tygodnia.

Diagnoza boksera

Jest jeszcze jeden wskaźnik, który pograża polską szkołę. Jednym z głównych kłopotów zgłaszanych przez rodziców i uczniów są problemy związane z przemocą rówieśniczą (zgłosiło je 17 procent uczniów i 21 procent rodziców). Także one, jak problemy z naukami ścisłymi, istniały w szkołach od zawsze, ale nie w takim natężeniu. Według raportu Instytutu Badań Edukacyjnych („Bezpieczeństwo uczniów i klimat społeczny w polskich szkołach”), opublikowanego w 2015 r., w zależności od typu szkoły, dręczonych było 15 procent uczniów szkół podstawowych, 10 procent uczniów gimnazjów, 6 procent uczniów liceów, 7 procent uczniów szkół zawodowych i 6 procent uczniów techników. Wskazania uczniów i nauczycieli obecnych ósmoklasistów pokazują, że ma miejsce wzrost zachowań przemocowych. We wstępie do raportu z 2015 r. jego autorzy jako przyczyny agresji w szkole wymieniają „**brak poczucia bezpieczeństwa uczniów, panujące zamieszanie i brak skoncentrowania na lekcjach**”; wymienione czynniki idealnie opisują sytuację obecnych uczniów szkoły podstawowej. Dołożyć do tego jeszcze przeuczenie, stres, zbyt wysokie wymagania – i rysuje się obraz dziecka jak zaszczutego zwierzęcia w klatce, które nie mogąc poradzić sobie z poziomem agresji wynikającej z niepewnej sytuacji, gryzie i drapie tego, który jest najbliżej, lub uderza w samego siebie.

Diagnoza psychiatry

Najwytrwalsi w szkole proponowanej przez minister Zalewską i rząd PiS-u mdleją – jak koleżanki Konrada. Słabsi lądują w przepełnionych szpitalach psychiatrycznych lub postanawiają ze sobą skończyć, co niektórym się udaje. I tu – na styku szkoły i wątpliwych reform – pojawia się sytuacja psychiatrii dziecięcej jako dziedziny samej w sobie. Analizować temat w zasadzie nie ma po co, bo zrobiono to już setki razy: psychiatria w Polsce umiera systematycznie od 1989 r., jest niedoinwestowana, pomijana, milczy się na jej temat. Ostatnio stan psychiatrii dziecięcej wypłynął na wierzch właśnie ze względu na fakt, że ta kompletnie w Polsce upadła: na każdym oddziale są dostawki, a potrzeb jest więcej, niż można je realnie zaspokoić.

Liczba młodych pacjentów jest ogromna i rośnie, przy czym problemem jest już nie tylko brak lekarzy, pielęgniarek i wyposażenia, bo to bolączki całego resortu skupionego wokół zdrowia, lecz złe procedury. Kolejni Rzecznicy Praw Dziecka od roku 2008 skrobali czułe listy do ministrów zdrowia, naświetlając sytuację psychiatrii dzieci i młodzieży; chcieli, żeby zabezpieczyć interesy młodych pacjentów, włączając we wcześniejszych stadiach pewnych problemów psychicznych psychologów i pedagogów, zanim będzie musiał wejść do akcji psychiatra. Od 2008 r. olewano te sugestie, a efekt jest taki, jaki jest.

Według badań kryzysem psychicznym dotkniętych jest aż 20 procent polskich dzieci i nastolatków, czyli 1,2 miliona młodych ludzi.

To ci, którzy mogliby skorzystać z pomocy psychologa i pedagoga, aby wszystko skończyło się dobrze. Według danych Rzecznika Praw Dziecka ponad 9 procent dzieci i młodzieży zмага się z zaburzeniami, na które pomoc może tylko psychiatra. To 6 tysięcy dzieci. Z tych około tysiąca targnie się na życie: w 2017 r. odnotowano 730 prób samobójczych dzieci i młodzieży. A ilu nawet nie próbowano zgłaszać? Światowa Organizacja Zdrowia twierdzi, że na jedną ujawnioną próbę samobójczą przypada od stu do dwustu niezarejestrowanych. Według badań Eurostatu Polska jest na drugim miejscu w Europie pod względem udanych prób samobójczych dzieci i nastolatków. Pisowski rząd dba o wskaźnik przyrostu urodzeń, a swoimi reformami – w niektórych przypadkach ich brakiem – wykańcza dzieci już urodzone.

ROZALIA SZUM

Andrzej Duda, prezydent: „**Proszę wszystkich nauczycieli, moich rodaków, żeby młodzież mogła spokojnie odbyć egzaminy, potem będziemy dalej dyskutowali, ja tylko proszę, żeby młodzież mogła spokojnie ten trudny dla niej moment przejść**”.

Beata Szydło, wicepremier: „**Strajk w czasie egzaminów uderza w uczniów. Pan Broniarz jest głuchy na te argumenty. A przecież najważniejsze jest, by młodzi ludzie mogli pisać spokojnie, a my, dorośli, powinniśmy wtedy rozmawiać. To nasza wspólna odpowiedzialność i jeśli będziemy umieli ją wspólnie ponieść, to zwycięży młodzież**”.

Robert Stankiewicz, nauczyciel mianowany: – Egzaminy gimnazjalne młodzież ma gdzieś. Strajkuje m.in. dlatego że ani Duda, ani Szydło nie mają o tym pojęcia.

Prorok na karku. Robert od dwiętnastu lat pracuje w szkole niedaleko Poznania. 400 uczniów, 40 belfrów, w tym 10 należy do ZNP. Reszta to bezwiazkowcy. Śwego czasu Stankiewicz przystąpił do związku Broniarza, ale uznał, że składka – 30 zł miesięcznie – była zbyt wysoka w stosunku do zasług i się wypisał. Strajkuje więc jako niezrzeszony. Strajk polega na tym, że trzeba się powstrzymywać od wszelkich czynności dydaktycznych i pedagogicznych. To się Stankiewicz powstrzymuje. Nawet komputera w szkole nie odpala, bo poszła wieść, że ślady pozostawione po logowaniu mogą zostać wykorzystane jako dowód, iż w proteście nie bierze udziału. Siedzi, rozmyśla, przypuszczenia snuje...

Zarabia nimało, bo prawie 3 tys. zł, ale ma 1,5 etatu, czyli 27 godzin tygodniowo spędza w klasie. Ucząc, odpoczywa, to najprzyjemniejsza część roboty. Czy jest obibokiem? Kiedyś prowadził dzienniczek, żeby czarno na białym dowiedzieć, że nie jest. Z dyżurami, zebraniami, szkoleniami, posiedzeniami zespołów i rad pedagogicznych, sprawdzaniem kartkówek itp. wyszło, że tyra 50 godzin na ty-

Związek Nauczycielstwa Polskiego, organizator obecnego strajku, ma w swojej historii inny wielki strajk: przeprowadzony przed 82 lata – jesienią 1937 r. W odróżnieniu od obecnego tamten miał charakter czysto polityczny. Stawką była niezależność samego związku, a nawet więcej – całego ruchu związkowego.

Zadań płacowych nie wysuwano. Ówczesna sytuacja materialna nauczycieli na tle innych zawodów wydawała się satysfakcjonująca. Nauczyciele etatowi w szkolnictwie publicznym traktowani byli podobnie do funkcjonariuszy administracji państwowej i pobierali wynagrodzenie na podstawie tej samej co administracja 12-grupowej siatki płac. Od 100 zł miesięcznie w grupie XII (referent) do 3000 zł w grupie I (premier). Nauczyciele plasowali się między grupą XI (130 zł) a VII (335 zł), czyli średnio ok. 240 zł. Było to uposażenie 3 razy wyższe niż średnie zarobki robotników w 1938 r.

Etat nauczycielski dawał też spore przywileje urlopowe, uprawnienia lecznicze, stabilność, emeryturę. Podstawa w szkole publicznej była ceniona i szanowana. Nauczyciele etatowych we wszystkich typach szkół publicznych było 90 tysięcy. Około 10 tysięcy uczyło w szkołach prywatnych, na poziomie średnim i zawodowym dość licznych. Tam płace kształtowały się zależnie od zamożności właściciela, czasem wyżej od szkół publicznych, częściej niżej. Łącznie nauczycieli było wielokrotnie mniej niż liczy obecna 600-tysięczna rzesza pedagogów.

Wersja popularna głosi, że powodem konfliktu władz sanacyjnych ze związkiem nauczycielskim w latach 30. stał się numer wydawanego przez ZNP tygodnika dla młodzieży „Płomyk”, zawierający pochwalne teksty o Związku Radzieckim, redagowane przez Wandę Wasilewską i jej przyjaciółkę Janinę Broniewską. To legenda. Ten numer „Płomyka”

REBUS 1



dzień. Czyli ciut więcej niż zwyczajni Polacy. A zwyczajni Polacy przeżwanie nie muszą drzeć o to, że jakiś gówniarz dostanie ataku epilepsji, pomoc nadejdzie za późno albo zostanie udzielona niefachowo i prokurator dobierze się belfrowi do skóry.

Wyprawa w nieznane. Z chorymi uczniami, choć trudno w to uwierzyć, jest większy problem niż z połykającymi alkohol i inne używki.

Do niedawna w pokoju nauczycielskim wisiała lista cukrzyków, epileptyków i alergików. Gdy Kowalski wyróżniał podczas przerwy o głębię i zaczęły targać nim drgawki, dyżurny belfer szybko rzucał okiem na wykaz i wiedział, że to nie efekt zażywania dopalaczy. Gdy w życie weszło RODO, okazało się, że lista chorych uczniów w pokoju nauczycielskim wisieć nie może, bo to dane wrażliwe i mogące stygmatyzować.

Na dodatek przepisy stanowią, że nauczyciele nie mają uprawnień do sprawowania opieki zdrowotnej nad uczniami. Czyli:

belfer ma obowiązek udzielić pierwszej pomocy, ale nie może podać gówniarzowi leku.

I to zarówno w szkole, jak i podczas zajęć organizowanych poza jej terenem. Zabranie na wycieczkę cukrzyka to w tym świetle prawdziwa wyprawa w nieznane, bo jeśli np. smark zażywa insulinę i zapomni o kolejnej dawce, to kłopoty gotowe. O tym, że na niwie oświatowej łatwo wpakować się w tarapaty, przekonał się kolega Roberta – podczas przerwy rozdzielał tłukących się po łbach gimnazjalistów; uznano, że naruszył ich nietykalność cielesną, dostał zarzuty prokuratorskie i pożegnał się z zawodem. Od tego czasu Robert interweniuje rozważnie, bo młodzież bardzo lubi zwycięzać.

Jasio i kwadracik. Od dłuższego czasu w szkołach mnożą się dysgra-

Małe jest wredne

Belfer czeka na podmiot liryczny.



Rys. TOMASZ WIATRE

fie, dysortografie, dyskalkulie i inne odmiany dysleksji. Rozmiar zjawiska wskazuje wręcz na pandemię, bo zgodnie ze stanem wiedzy medycznej częstość wystąpienia schorzenia wynosi 10 proc., a w zeszłym roku do egzaminu gimnazjalnego w skali kraju przystąpiło ponad 50 tysięcy dyslektyków, co stanowiło 1/6 zdających. W szkole Roberta było ich więcej – 1/4. Skąd wziął się wysyp młodych Polaków chorobliwie nieumiejących czytać i liczyć?

W praktyce wygląda to tak: mama Jasia bardzo chce, żeby Jasio dostawał dobre stopnie. Gdy Jasio dostaje z matmy tróję z minusem, mama bieży wraz z potomkiem do poradni psychologiczno-pedagogicznej, uprzedziwszy Jasia, żeby podczas badania

wykazywał się daleko posuniętym idiotyzmem, co Jasiowi przychodzi z łatwością. Jasio dostaje zaświadczenie, że cierpi na dyskalkulię i odtąd nauczyciele muszą się z nim obchodzić jak z jankiem. Następnym razem zamiast trójki minus dostanie czwórkę z plusem. Szczególne traktowanie trwa aż do egzaminu gimnazjalnego – Jasio nie będzie rozwiązywał zadań zawartych w standardowym arkuszu egzaminacyjnym, lecz na specjalnym, dostosowanym do jego potrzeb edukacyjnych i możliwości psychofizycznych, czyli będzie miał łatwiej.

Stankiewicz, żeby uzyskać zdolność do nauczania Jasia oraz prawidłowego przeprowadzenia egzaminu, wziął udział w szkoleniach organizowanych przez kuratorium i Okręgową Komi-

sję Egzaminacyjną (OKE). Dzięki temu dowiedział się, że arkusz egzaminacyjny ucznia z dysleksją należy oznaczyć literą „D”, kilka miesięcy później, że krzyżykiem, a po pół roku, że musi zamalować kwadracik.

Wydana przez Centralną Komisję Egzaminacyjną (CKE) instrukcja w sprawie sposobu organizacji i przeprowadzania egzaminu gimnazjalnego liczy 120 stron i można by podejrzewać, że tak obszerne dzieło kwestie fundamentalne reguluje jednoznacznie, niestety nie reguluje, co otwiera pole do licznych interpretacji. Jeśli Stankiewicz ich nie pozna, będzie oddawał arkusze niewłaściwie oznaczone, ścieżka awansu zostanie przed nim zamknięta i do końca życia pozostanie belfrem mianowanym.

Psu na budę. Jeżeli myśli poważnie o awansie, musi także do perfekcji opanować sposoby oznaczania nagrań egzaminu z udziałem nauczyciela wspomagającego. Chodzi o to, że są uczniowie, którzy ze względu na chorobę – np. porażenie mózgowe – nie są w stanie czytać i pisać i belfer ich w tych czynnościach wyręcza, w zakresie odpowiedzi wykonując ustne polecenia egzaminowanych. CKE doszła do wniosku, że może dochodzić do nieprawidłowości polegających na tym, iż to pedagog, a nie uczeń będzie wykazywał się wiedzą, dlatego poleciła, aby egzamin nagrywać, ale znów zapomniała o szczegółach. Spory o to, jak prawidłowo oznaczyć płytke zawierającą nagranie, zdają się nie mieć końca, co dowodzi, że nauczyciel powinien się ustawicznie kształcić. Stankiewicz zastanawia się, jak wobec tak znacznej komplikacji materii poradziły sobie sprowadzone na egzamin łamistrajki. Jeżeli bez trudu, to wszystkie szkolenia, które odbył w sprawie procedur egzaminacyjnych, zdają się psu na budę.

Po dwóch pierdnięciach. Gdy Robert Stankiewicz podczas swego strajkowania usłyszał od wicepremier Szydło, że kontynuując protest podczas egzaminów, uderza w młodzież, a od prezydenta Dudy, iż ma pozwolić młodzieży spokojnie przejść ten trudny dla niej moment, o mało nie spadł z zydl. Cały swój talent pedagogiczny od lat wkłada bowiem w to, aby przekonać uczniów, że egzamin ma sens, a gówniazeria mu nie wierzy. Dlaczego? Dlatego że połowa absolwentów gimnazjów wybiera się do zawodówek i techników, żeby więc przejść przez sito kwalifikacyjne, wystarczy, że ukończą szkołę. Zgodnie z wolą ustawodawcy żeby skończyć gimnazjum, muszą zaś podejść do egzaminu, wynik jest nieistotny. Efekt: uczniowie wchodzą do sali egzaminacyjnej i opuszczają ją po dwóch pierdnięciach, nie rozwiązując żadnego zadania. Rzecz jasna nie wszyscy, ale dane CKE wskazują, że

5–10 procent uczniów uzyskuje wyniki od 0 do 25 proc.

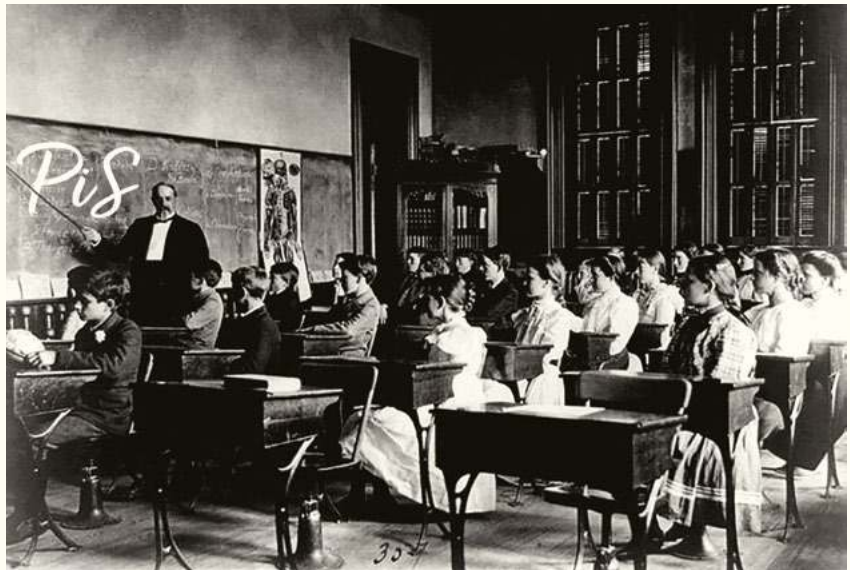
Pozostali aż takiego radykalizmu nie wykazują, ale wysokoprocentowy rezultat jest im potrzebny jak kaktus w dupie, bo nawet wybierający się do liceów, jeśli nie mają one specjalnej renomy, niewiele punktów muszą uciąć.

Podobnie zdrowe zasady obowiązują po zreformowaniu oświaty przez ministra Zaleską i wprowadzeniu egzaminu dla ósmoklasistów.

Stankiewicz nie ukrywa, że protestuje z powodu kasy, zawsze miło kilka stówek przytulić, ale jeśli skończy się na podwyżkach, nie jest pewny, czy wytrwa do emerytury, czy też postawi krzyżyk na smarkach. Na razie z niecierpliwością czeka, aż głos da podmiot liryczny, czyli Jarosław Kaczyński. Bo ma nadzieję, że fraza o krowach i świniać możliwości prezesa jednak nie wyczerpuje.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikołajczyk@redakcja.nie.com.pl

Przed wojną to były strajki



Ilustr. WŁODZIMIERZ KIERUS

nie był tak jednoznacznie proradziecki, jak utrzymywały władze. ZSRR i Rosję przedstawiał z różnych stron, w tym krytycznych. Został instrumentalnie wykorzystany dla rozpętania prawicowej nagonki na ZNP, wszczętej z zupełnie innego powodu. Zresztą między inkryminowanym numerem „Płomyka” (marzec 1936 r.) a wydarzeniami, które wywołały strajk (wrzesień 1937 r.), upłynęło 1,5 roku.

Prawdziwe przyczyny konfliktu wiązały się ze zmianą polityki obozu sanacyjnego po śmierci Piłsudskiego. Nastąpił kurs na porozumienie z częścią endecji, przyspieszoną likwidację resztek demokracji oraz budowanie państwa czysto autorytarnego. Sześć nowo utworzonego ponadpartijnego bloku rządzącego OZON (Obóz Zjednoczenia Narodowego) płk. Adam Koc snuł plany likwidacji partii politycznych i poddania kontroli państwa wszystkich organizacji społecznych, ruchu zawodowego w szczególności.

ZNP uwiarał władze bardziej niż inne związki. Miał rozległe wpływy, 30 tysięcy członków płacących składki, co trzeci nauczyciel był członkiem związku. Dochodowe wydawnictwa („Płomyk” z dodatkami – 250 tys. nakładu) zapewniały mu ekonomiczną stabilność. Unikanie angażowania się w walki polityczne powodowało, że w szeregach związku dość zgodnie współpracowali socjaliści, ludowcy i liczni piłsudczycy, opozycyjni wobec OZON-u. Było też miejsce dla pepesowców z lewego skrzydła, otwartych na współpracę z komunistami w walce z zagrożeniem faszystowskim, takich jak Wasilewska i Broniewska.

Spacyfikowanie związku otwierałoby drogę do wzięcia pod kontrolę innych związków, np. potężnego Związku Zawodowego Kolejarzy czy Związku Robotników Rolnych.

Wywierano zatem na ZNP presję w celu skłonienia jego władz do wstąpienia do OZON-u. Gdy zabiegi te spotkały się z odmową, zdecydowa-

no się na kroki radykalne. Odrzeczono już prawie wygasłą sprawę „Płomyka” i oskarżenia o komunizowanie młodzieży. Pod tym pretekstem 29 września 1937 r. minister spraw wewnętrznych zawiesił Zarząd Główny ZNP oraz ustanowił nad związkiem rządowego kuratora. Dla upokorzenia związku mianowano tym kuratorem Pawła Musioła, 32-letniego działacza Obozu Narodowo-Radykalnego ze Śląska. Spotkał się on z całkowitym bojkotem personelu ZNP i wydawnictw związkowych, a także organizacji terenowych. Gdy przystąpił do zwalniania z pracy dotychczasowych funkcjonariuszy związku i zastępowania ich kumpłami, personel Zarządu Głównego oraz wydawnictw i drukarni ogłosił strajk okupacyjny w siedzibie związku. Strajk podjęło 350 osób. Komitetem strajkowym kierowała Wanda Wasilewska. Strajkujący zaapelowali do całego związku o solidarność, co skutkowało lokalnymi strajkami nauczycieli, a także wielotysięcznymi manifestacjami w wielu miastach. W Warszawie wielki pochód nauczycieli pomaszerował na Belweder. Na czele szli legionieści i peowiacy z orderami Virtuti Militari i Krzyżami Walecznych na piersi. Dzeźoriantowani policjanci chowali pałki i salutowali czołowce pochodu. Władze były zaskoczone spontanicznym i masowym poparciem strajku. Realne było podjęcie strajków solidarnościowych przez związki robotnicze.

Dodatkowy kłopot sprawiała osoba Wandy Wasilewskiej. Wywodziła się ona z rodziny dla piłsudczyków szczególnej – z krakowskiego matcznika ruchu. Jej ojciec Leon, historyk i publicysta, należał do nielicznych, z którymi Piłsudski był na ty. Przed

I wojną światową rodzinę Wasilewskich łączyła z Piłsudskim bliska zażyłość. Młodsza siostra Wandy, Aldona, tak to wspominała po latach: „W Krakowie przed wojną często przychodził do nas starszy pan, szczupły, lekko pochylony, z pięknymi wąsami. Siadali z ojcem w stołowym i godzinami rozmawiali. Odmawiał jedzenia, lecz bez przerwy pił herbatę, szklanka po szklance. Żegnając się, gładził dziewczynki po główkach, mówił każdej coś miłego i zostawiał pakiet landrynek. Potem była wojna i ten pan latami się nie pojawiał. Aż pewnego dnia we wszystkich gazetach zobaczyliśmy jego fotografię”. Wasilewska zrecznie te tradycje w czasie strajku przypominała, m.in. w petycjach do wdowy po Marszałku.

W obozie rządzącym starły się dwie tendencje: represyjna (zdławić opór siłą, wykorzystując Berezę); i ugodowa (ugiąć się, pójść na kompromis). Prezydent Mościcki przychylił się do drugiej. W listopadzie odwołano Musioła, a na jego miejsce minister Wojciech Świętosławski wyznaczył Seweryna Maciszewskiego, dyrektora wydziału prezydielnego w Ministerstwie Oświaty, legionistę z kompanii kadrowej, świetnego nauczyciela o umiarkowanych poglądach, cieszącego się dużym mirem w środowisku. Maciszewski ogłosił, że jego misją będzie niezwłoczne przekazanie związku w ręce legalnie wybranych władz. Przywrócił do pracy wszystkich zwolnionych przez Musioła, w ciągu kilku tygodni zwołał Zjazd Delegatów, który wybrał zarząd związku w składzie podobnym do zawieszonego. Jedynym ustępstwem na rzecz rządu była eliminacja z tego zarządu Wasilewskiej

i Broniewskiej. Porażka zwolenników twardego kursu w konfrontacji z nauczycielami prawdopodobnie zniechęciła ostatecznie większość obozu rządzącego do prób likwidacji partii politycznych, ruchu związkowego, samorządów – i podobnych „rewolucyjnych” pomysłów Adama Koca.

Polska Ludowa dopisała końcowy akt tych wydarzeń. Protagonisci sporu z 1937 r. spotkali się bowiem symbolicznie po tej samej stronie barykady. Wojciech Świętosławski, były minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, formalnie biorąc, główny przedstawiciel strony rządowej w sporze z ZNP, wrócił po wojnie do kraju i do śmierci w 1968 r. był członkiem Prezydium PAN i dyrektorem czołowego krajowego instytutu chemicznego. Paweł Musioł nie żył. Dzielnie walczył w szeregach Armii Krajowej na Śląsku, wpadł w ręce Niemców i w 1943 r. zginął na gilotynie w Katowicach. Jego następcą na funkcji kuratora ZG ZNP Seweryn Maciszewski wrócił do kraju, do emerytury w 1963 r. pracował w szkolnictwie i działał w ZNP. Współorganizował obchody 20. rocznicy strajku razem ze związkowymi weteranami Czesławem Wycechem i Wacławem Tułodzieckim. W obchodach 30. rocznicy z powodów zdrowotnych nie mógł uczestniczyć. Organizował je jego syn Jarema Maciszewski, w tym czasie zastępca kierownika wydziału nauki i oświaty KC PZPR. Wanda Wasilewska mieszkała w Kijowie, w warszawskich uroczystościach rocznicowych nie brała udziału. Nie została zaproszona z powodu sprzeciwu Gomułki. Zachował do niej urazę za to, że w 1945 r. nie wróciła do Polski, lecz została w ZSRR.

M.Z.

Śląskie sposoby na śmierć w szpitalu.

Na stronie internetowej Sosnowieckiego Szpitala Miejskiego czytamy: „**Misja Szpitala. Szpital Przyjazny Pacjentowi i Jego Rodzinie**”. Wejdźmy na stronę szpitalnych aktualności. Jako pierwsze wyświetliły się następujące komunikaty: o pacjencie, który zmarł po dziewięciu godzinach czekania w izbie przyjęć; jeszcze raz o tym samym pacjencie; o pobycie pacjenta, który przyszedł tam na własnych nogach, a wyjechał prosto do hospicjum.

Dwa przypadki

Streśćmy te informacje. Pierwsza z nich to przeprosiny, bicie się w piersi, obietnica wyjaśnienia wszystkiego i podkreślanie, że to szpital zgłosił przypadek śmierci do prokuratury. Nie ma się czym chwalić – zawiadomienie prokuratury o zgonie z przyczyn innych niż naturalne to obowiązek szpitala. Drugi komunikat zawiera listę czynności, które wykonano z pacjentem w ciągu dziewięciu godzin poprzedzających jego śmierć. Rejestracja, badanie, konsultacje. Na końcu „kontynuacja procedur diagnostyczno-leczniczych”. Jak gdyby nam chciano powiedzieć: Widzicie? Wszystko było OK! W komunikacie dotyczącym pacjenta wywiezionego do hospicjum prezes szpitala otwarcie stwierdza, że rodzina pacjenta szkaluje personel: „**Stan faktyczny, dotyczący zdrowia pacjenta, przebiegu jego leczenia, jest diametralnie inny niż przedstawiony przez rodzinę pacjenta i wprowadza w błąd opinię publiczną, przedstawiając obraz niezgodny z faktami**”. Prezes szpitala informuje, że prosił rodzinę o spotkanie, ale rodzina je odwołała.

Pierwszy pacjent

Krzysztof trafia na izbę przyjęć sosnowieckiego szpitala w poniedziałek 18 marca o 10.30. Ma opuchniętą nogę, lecz wchodzi tam o własnych siłach. Na izbę skierowany jest w trybie pilnym przez lekarza rodzinnego, który obawia się zatoru zagrażającego życiu mężczyzny. Z nogi sączą się limfa i krew. Gdy Krzysztof idzie do łazienki bądź toalety, zostawia po sobie krwawy ślad. Jak twierdzi szwagierka mężczyzny, „**profesjonalną pomoc dostał około 19.20, czyli po blisko dziewięciu godzinach czekania, kiedy już konał. Proszę sobie wyobrazić, ile przez ten czas stracił krwi**”. Zdaniem rodziny lekarze bliżej interesują się Krzysztofem około południa. Wtedy badają mu drożność żył. Potem znów odsyłają na izbę przyjęć. Krzysztof zaczyna tracić równowagę, także głos, bełkocze. Mijają kolejne godziny. Krew do badania pobierają mu dopiero po czterech godzinach od wejścia na izbę przyjęć. Towarzysząc mu szwagier prosi lekarzy, aby podjęli interwencję. Bez rezultatu. Relacja rodziny: „**Jedyną osobą, która zajmowała się Krzysztofem, była pani sprzątająca, która co 15 minut wymieniała ręczniki spod nogi**”. O 17.20 Krzysztof podpięty zostaje pod ciśnieniomierz. Badanie wskazuje stan zapaści. Zaczyna powoli umierać. O 19.20 przychodzi do niego psychiatra lub psycholog. Chory wymiotuje, następnie traci przytomność. Rozpoczyna się akcja reanimacyjna. Po 21.00 wezwana zostaje karetka, aby pacjenta w tym stanie z Sosnowca przewieźć do innego szpitala w Chorzowie. Jednak Krzysztof nie jedzie, ponieważ około 22.00 umiera.

Drugi szpital

Nazajutrz (19 marca) na Szpitalny Oddział Ratunkowy w Dąbrowie Górniczej zgłasza się kobieta. Związa się z bólu, ale jak inni czeka na przyjęcie przez lekarzkę, która od kilkudziesięciu minut jest na oddziale. Na początku zajmują się nią tylko inni pacjenci. Krzykiem próbują zmusić lekarzkę lub pielęgniarki, żeby ktoś podszedł do cierpiącej kobiety. Niektórzy z pacjentów są tak oburzeni, że wybijają telefony komórkowe i nagrywają tę sytuację. Na jednym z tych nagrań widać szpitalny korytarz. – Ona się związa z bólu! – krzyczy jakaś kobieta do kobiety w białym fartuchu, z jakimiś papierami, najpewniej pielęgniarki. Ta wysłuchuje krzyku, po czym wchodzi do jednego z gabinetów. Z innego gabinetu wychodzi kolejna osoba w białym fartuchu, lecz idzie w przeciwnym kierunku. Ze wzburzonymi ludźmi próbuje rozmawiać ratownik medyczny. Krzyczą, że pretensje mają do lekarza, a nie do niego. – Ratunku! – W pewnym momencie słysząc donośny ryk. To dlatego, że cierpiąca mdleje z bólu i pada na ziemię. Znowu zajmują się nią tylko inni pacjenci. – Kobieta zemdlą! Czy pan rozumie?! – słychać krzyk. – Ruszyć się, do cholery! – krzyczy ktoś inny. Dopiero wówczas z jednego z gabinetów wychodzą dwie pracownice szpitala i podchodzą do zemdlonej. Nagranie wstrząsa prezydentem Dąbrowy Górniczej Marcinem Bazylakiem. Wydaje oświadcze-

SOR-y, sorry



nie, w którym oznajmia, że ogłasza konkurs na nowego dyrektora szpitala.

Staruszka na podłodze

3 dni później 22 marca na izbę przyjęć Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego nr 4 w Bytomiu trafia 87-letnia Franciszka. W szpitalu towarzyszą jej córka oraz wnuczka. Obie chcą zostać na noc przy łóżku starszej pani. Nie dostają zgody, wieczorem wracają więc do domu. Rano wracają do szpitala. Pani Franciszka wygląda jak gdyby zderzyła się z autem. Sine oko, opuchnięte ciało, a na koszuli nocnej i pod łóżkiem krew. Mówi, że spadła z łóżka, po czym przez wiele godzin leżała zziębnięta na podłodze. Jak długo, tego nikt nie wie. Pielęgniarki wszystkiemu zaprzeczają. Twierdzą, że pani Franciszka całą noc spędziła w łóżku. A skąd sińce oraz krwiaki? Przedstawicielka szpitala oznajmia, że w takim stanie seniorka została przywieziona. To mają być pozostałości po ataku padaczki, który nastąpił wcześniej. Krewne Franciszki mają kłamać, choć nie wiadomo dlaczego. Stan starszej pani ulega gwałtownemu pogorszeniu. Pojawia się u niej zapalenie płuc, być może spowodowane wielogodzinnym leżeniem na podłodze, czemu szpital zaprzecza.

Pijana bez alkoholu

Paulina jest w drugim miesiącu ciąży. 10 marca wieczorem zaczyna się dziwnie zachowywać. Zaczyna się, traci równowagę, zaczyna bełkotać. To typowe objawy wylewu krwi do mózgu. W przypadku udaru mózgu ważna jest każda minuta. Im wcześniej człowiek otrzyma fachową pomoc, tym większa szansa, że przeżyje i nie zostanie inwalidą. Paulina samodzielnie dociera do Szpitalnego Oddziału Ratunkowego w Zawierciu. Towarzyszy jej narzeczony. Oboje liczą na to, że ktoś się zajmie kobietą. Jest 1.30 w nocy i poza Pauliną tylko jeden pacjent. Pada pierwsze pytanie: – Ile pani dziś piła? Paulina bełkocliwie odpowiada, że nic. Potwierdza to narzeczony. Lekarz decyduje, że młoda kobieta zostanie na oddziale. Jej narzeczony ma wracać do domu i zjawić się o poranku. Ale ponieważ Paulina zaczyna wysyłać coraz bardziej niezrozumiałe SMS-y, narzeczony postanawia wracać. Wdzi, jak kobieta związa się z bólu i wyje. Gdy pyta, dlaczego nikt się nią nie zajmuje, słyszy odpowiedź, że ciągle nie ma wyników badań potwierdzających, iż jest w ciąży. Bez nich nie można podjąć żadnych działań. Ale Paulina wynik takiego badania wzięła z sobą do szpitala. Jej narzeczony podaje go, lecz lekarz mówi, że i tak trzeba „**czekać do rana**”.

Rano lekarze stwierdzają u Pauliny ciężki obrzęk mózgu i przewożą na oddział udarowy. W ciągu dnia zapada decyzja o transporcie kobiety do Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego w Katowicach. Dziś 21-latka nie mówi, nie porusza się, tylko mruga oczami. Cięża, którą chronili lekarze z Zawiercia kosztem ciężarnej Pauliny, rozwija się prawidłowo.

Reakcja

W drugiej połowie marca śląski NFZ i wojewoda śląski wydają komunikaty o rozpoczęciu kontroli w szpitalach w Sosnowcu, Bytomiu, Dąbrowie Górniczej oraz Zawierciu. Wkrótce okazuje się, że kontrole należałoby rozszerzyć, gdyż z prasą kontaktuje się rodzina 35-letniego Marcina. 19 marca karetka pogotowia przywozi go na izbę przyjęć szpitala w Wodzisławiu Śląskim.

Mężczyzna lekarzowi skarży się na ból w klatce piersiowej.

Wykonane zostaje badanie stanu zdrowia pacjenta. Potem kroplówka i czekanie. Po dziesięciu godzinach Marcin trafia do karetki. Ta jedzie z nim do innego szpitala – w Rydułtowach. Marcin nie opuszcza karetki. Dwóch lekarzy dyżurnych oznajmia, że szpital jest pełniejszy. Wszystkie łóżka zajęte. Już po śmierci mężczyzny dyrekcja szpitala wszczyna wewnętrzne postępowanie. Okazuje się, że były wolne łóżka. Karetka z pacjentem jedzie do kolejnej miejscowości. Po blisko dwunastu godzinach od alarmu wszczętego przez lekarza rodzinnego Marcina zostaje wreszcie przyjęty do szpitala w Raciborzu. 3 godziny później umiera. Przyczyną śmierci jest zawał serca.

Finał w hospicjum

Sosnowiecki Szpital Miejski szkalować ma rodzina ponadosiemdziesięcioletniego pacjenta. Starszy pan cierpi na alzheimera. Bywa nadpobudliwy i agresywny. Do szpitala kieruje go lekarz, by ustalono tam rodzaj i dawkę leków na obniżenie agresji. Oddział jest zamykany na klucz. Pacjent nie może więc uciec. Snuje się po korytarzu i myli łóżka. Wkrótce po jego przyjęciu zapada decyzja o przywiązaniu go pasami do łóżka. W szpitalu codziennie odwiedza go córka. Przynosi mu obiady. Skarży się pielęgniarkom, że tata ciągle leży w moczu. Na co słyszy odpowiedź, że pan Władysław bardzo często sika. Podczas jednego z posiłków córka czuje niepokojące zapach. Podnosi koldrę i widzi, że coś nie tak jest z nogami pana Władysława. Leżą jedna na drugiej i wyglądają jakby były sklejone. Podnosi jedną z nich. Pacjent wyje z bólu.

Pani Jolanta widzi coś białego. To piszczele. Przywiązywaniem do łóżka pacjentowi robiły się coraz głębsze odleżyny. Aż wreszcie ciało odpadło i na wierzch wyszły kości.

Pan Władysław na własnych nogach przychodzi do szpitala. Pod koniec pobytu jest nieprzytomny. Pacjenta w ciężkim stanie ordynator postanawia wypisać. Pani Jolanta ma tylko kilkadziesiąt godzin, żeby znaleźć miejsce w hospicjum. Znajduje je w Olkuszu. Szpital jest tak taskawy, że udostępnia jej karetkę do przewozu taty. Do granicy miasta sanitarka wiezie jej tatę bezplatnie. Za odcinek od granicy Sosnowca do olkuskiego hospicjum szpital wystawia rachunek – 150 zł. Pan Władysław umiera 23 lutego. Co w swym oświadczeniu podkreśla szpital – poza jego terenem.

Przypadek z „NIE”

Kilka miesięcy temu opisałem przypadek innego pacjenta. Został przywieziony do jednego ze wspomnianych szpitali, brudny i zaniedbany. Żeby nie zapaskudzić oddziału, dyżurująca lekarz kazała położyć go w sraczu. Człowiek zmarł. Opis tej sytuacji nie zainteresował nikogo. Ani NFZ, ani prokuratury, Rzecznika Praw Pacjenta czy jakiejś instytucji państwowej. Nie sprawdzano, czy całą tę sytuację wymyśliłem, czy napisałem prawdę. Widzę bezpośredni związek między tą obojętnością i obecną serią mrozących krew w żyłach incydentów szpitalnych.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Chory mężczyzna, którego stan zagrażał życiu, był dwukrotnie zatrzymany przez policję i dwukrotnie badany w szpitalu. Nikt go nie ratował. Wypuszczano go do domu, choć był zagrożeniem dla siebie i innych. Zamiast pomocy dostał zarzuty prokuratorskie.

...

Gdańsk, połowa listopada 2018 r. Dla Adama Brzezińskiego listopad to trudny czas. Tragiczne wspomnienia sprzed kilku lat wracają i nie pozwalają zasnąć. Tak było też tego dnia. Brzeziński czasami pracuje w nocy. Jest inżynierem elektrykiem i bywa, że musi w razie awarii dokonać nocnych pomiarów energii. Wtedy wrócił do domu około siódmej rano. Coś zjadł i położył się spać, ale sen nie nadchodził. Po pewnym czasie sięgnął po tabletkę Imovane, którą niedawno przepisał mu lekarz, gdyby nie mógł zasnąć. Pamięta, że zasłonił okna i ściszył telefon. I tyle. O tym, co działo się przez kolejne 2 dni, może dowiedzieć się jedynie z notatek policyjnych, monitoringu i relacji świadków. Nic nie pamięta.

...

Kilka godzin po zażyciu tabletki Brzeziński znalazł się na stacji paliw przy gdańskim lotnisku. Przez dwie godziny próbował napompować całkowicie rozzerwane opony. Gdzie je poprzebijał, nie wie. Jak dojechał na stację, też nie wie. Wreszcie ktoś wezwał policję. Tego też mężczyzna nie pamięta. Wie jednak, że zadzwonił do przyjaciela, żeby do niego przyjechał. Opowieść kolegi jest przerażająca.

Skrobanie downów jest szczególnie ohydne, bo to takie same dzieci jak inne, tyle że ufniejsze. Bardziej spragnione miłości. I proszę się nie bać. Pomożemy w rehabilitacji, wychowaniu, edukacji. Od kilku lat PiS wbijają ten komunikat do głów polskich matek. „Nasz Dziennik” doniósł niedawno, że system skrzywdził chorą na zespół Downa Marysię, uczennicę trzeciej klasy gimnazjum w Krążkowach. To wielka odwaga powiedzieć prezesowi Polski, że obiecuje na wyrost.

Choroba. Nikt nie chce przekreślać szans potomka na normalność. Rodzicom wydaje się, że edukacja wyrówna upośledzenia mózgu. Prawda jest taka, że każde dziecko z downem jest inne. Jednak pewne cechy są wspólne. Częste wady i dysfunkcje narządów zmysłów, nietrwała pamięć, głównie mechaniczna, uwaga mimowolna, myślenie konkretno-obrazowe, brak zdolności dokonywania operacji logicznych, duże trudności w tworzeniu pojęć abstrakcyjnych.

Teoretycznie rodzice mają możliwość wyboru szkoły. Szkoła specjalna? Integracyjna? Ogólnodostępna? Tak czy siak nie ma co liczyć, że dziecko dorówna rówieśnikom. „**Niepelnosprawność intelektualna to stan, a nie choroba, którą można wyleczyć. Funkcjonowanie poznawcze osób z upośledzeniem umysłowym, proces myślenia oraz działalność praktyczna są ograniczone. Funkcje psychiczne rozwijają się wolniej i nie osiągają pełnej dojrzałości. (...) Zmiany te uwarunkowane są przede wszystkim nieprawidłowym funkcjonowaniem struktur anatomicznych mózgu**”.

Szkoła. Michaś wybiera się do Zespołu Społecznych Szkół Specjalnych „Dać szansę” w Warszawie. Rodzinna atmosfera, basen, joga, terapia ręki, dogoterapia. Czesne, bo subwencja oświatowa, dotacje celowe i sponsorzy nie pokrywają kosztów funkcjonowania. Na razie rodzice wgrzyżają się w drobniarę ankietę, którą trzeba wypełnić przed przyjęciem do placówki. Czy dziecko ubiera się samodzielnie? W jakim zakresie wymaga wsparcia?



Śpioch

Brzeziński wtedy ledwo trzymał się na nogach, był praktycznie bez kontaktu, bełkoczący i kompletnie nieorientowany w sytuacji.

– Był wyraźnie przerażony i chory – mówi Adrian.

Kolega tłumaczył funkcjonariuszom, że Brzezińskiemu na pewno coś się stało i trzeba mu pomóc.

Policjanci jednak uważali inaczej. Pijany i koniec.

Dmuchiwanie w alkomat nie wykazało obecności alkoholu. Policjanci

nie wierzyli. Zabrali mu prawo jazdy, wsadzili samochód na lawetę, wrzucili go brutalnie do radiowozu i zawieźli do szpitala na badanie krwi. Dmuchał jeszcze kilka razy po drodze. Nic. W szpitalu nie wykryto alkoholu we krwi. Wypuszczono go więc do domu, nakazując koledze, by go odwiedził. Tymczasem nadal nie można było nawiązać z Brzezińskim kontaktu...

W domu Adam obiecał Adrianowi, że pójdzie spać. Jednak wszystko wskazuje na to, że nie spełnił obietni-

cy, bo według relacji sąsiadów o szóstej po południu wyszedł przed blok i krzyczał, że ktoś ukradł mu samochód. Poszedł go szukać.

– O 23.45 wypożyczyłem nowe auto z wypożyczalni, bez dowodu osobistego, bez prawa jazdy, bez gotówki. Wydający auto widział, w jakim jestem stanie i mimo wszystko mi je pożyczył... – mówi Adam Brzeziński.

Potwierdza to monitoring z placu firmy wypożyczającej samochody.

Nie pojeździł długo. Po kilkunastu minutach od wyjazdu z placu nieprzytomny mężczyzna rozbił pożyczone auto. Wpadł na wysepkę, ścinając po drodze kilka znaków drogowych.

Znów przyjechała policja. Znów policjanci kazali mu dmuchać w alkomat, znów trafił do szpitala, gdzie zbadano mu krew. Po czym znów wypuszczono go do domu.

– Nie wiem, jak dotarłem do domu, na pewno szedłem na piechotę, musiałem też iść przez jakiś zbiornik wodny, bo gdy się obudziłem 14 listopada około ósmej wieczorem, spodnie miałem po pas uwalane błotem, wodorostami i glonami – wspomina mężczyzna.

Dopiero następnego dnia doszedł do siebie. Wtedy też zobaczył na stoliku blister po tabletkach nasennych. Pusty. Dlaczego poślknął wszystkie?

Prokurator Anna Zalewska z Gdańska zarzuca Brzezińskiemu „**przewodzenie pojazdu mechanicznego pod wpływem środka odurzającego działającego jak alkohol**”. Powołała biegłego, którego zapytała, czy Brzeziński był pod wpływem środka, „**który działał podobnie jak alkohol**”.

Drugie badanie krwi przeprowadzone w szpitalu nakierowane było nie tylko na poziom alkoholu we krwi, ale też na obecność środków odurzających. Wykazało obecność środka czynnego znajdującego się w leku, który przyjął. Jego poziom znacznie przekraczał dawkę śmiertelną...

Podpisy badanego na dokumencie mówiącym o przeprowadzeniu badania krwi pokazują, że Brzeziński nie był w stanie utrzymać w ręku długopisu. Mimo to nie zatrzymano go w szpitalu.

Brzeziński był badany przez biegłego około 14 minut. Według relacji badanego

przez 13 minut biegły pytał o jego życie seksualne i relacje z kobietami, po czym w ostatniej minucie spytał, czy lubi jeździć samochodem po zażyciu leków nasennych.

– Powiedziałem: „Drogi panie, to jakiś absurd” – mówi Brzeziński. – Zaczął się na mnie drzeć, że nie jest drogim panem, tylko najlepszym biegłym sądowym. I natychmiast kazał mi wyjść.

Biegły napisał, że mężczyzna był po czytalny podczas dokonanych czynów. Napisał też, że 19 mm we krwi środka, który przyjął, odpowiada 0,5 promila alkoholu. Brzeziński miał 800 mm...

Notatki policyjne sporządzone podczas zatrzymań mówią, że z Brzezińskim nie było kontaktu, że się przewracał, bełkotał, nie wiedział, gdzie jest i z kim rozmawia. Badanie alkomatem nie wykazało obecności alkoholu.

W żadnej z notatek nie zapisano, że mężczyzna wymaga natychmiastowej pomocy lekarskiej.

Brzeziński był dwukrotnie w szpitalu. Byli tam lekarze, pielęgniarz, ratownicy medyczni. Nikt nie zwrócił uwagi na jego stan.

– Przy takim poziomie zopiklo-nu, który znajduje się w przyjętym przez pacjenta specyfiku, chory mógł w każdej chwili umrzeć – mówi lekarz dyżurny ze szpitala zakaźnego w Warszawie.

Dlaczego nikt nie ratował mu życia? Dlaczego wypuszczano go do domu, choć był zagrożeniem dla siebie i innych? Dlaczego wydano mu w wypożyczalni samochód, choć nie było z nim kontaktu?

Adam Brzeziński nigdy nie miał do czynienia z prawem. Twierdzi, że jeśli chodzi o stosowanie się do przepisów i do zaleceń prawa, był wręcz przykładny. Do czasu.

– To sobie pohasałem... – wzdycha. Leki nasenne wyrzucił.

JOANNA SKIBNIEWSKA
askibniewska@redakcja.nie.com.pl



Marysia i inne downiątka

Chore dzieci są równe i równiejsze.

Czy sygnalizuje potrzeby fizjologiczne? W jaki sposób? Czy samodzielnie podciera się? Czy sygnalizuje, że jest głodne? Spragnione? W jaki sposób? Czy umie odroczyć realizację swojej potrzeby? W jaki sposób porozumiewa się z otoczeniem? Placzem? Krzykiem? Gestem? Mową? (Do wyboru wyrazy dźwiękonaśladowcze, wyraz, proste zdanie). Jak państwo postępują w przypadku zachowania trudnego?

Dorotka mieszka na wsi pod Olsztynem. Chodzi do klasy specjalnej w szkole ogólnodostępnej. Fachowcy uważają, że w polskich warunkach to najlepsza opcja.

Matka: – Minęło dużo czasu, zanim zrozumiałam, że nie walczymy o to, aby wiedziała, ile to jest 2 plus 8. Ani o ortografię. Najważniejsza jest obecność córki w grupie. Fakt, że jest w ławce z innym uczniem, że potrafią się dogadać.

– Dobrze byłoby, gdyby dziewczynka była w stanie samodzielnie żyć, gdy

nas zabraknie, a może nawet pracować – marzy mama. – W bogatszych krajach chorzy parzą kawę, wydają hot dogi, a nawet zostają fryzjerami.

W Gdańsku dzięki wysiłkom rodziców i nauczycieli otwarto klasę, w której co drugi uczeń ma downa. W sumie przychodzi na lekcje 14 osób. Realizują specjalnie dla nich napisany program.

Marysia. Bohaterka „Gazety Polskiej” ma orzeczenie o niepełnosprawności i potrzebie kształcenia specjalistycznego. Szkoła specjalna? W życiu! – uznał tata.

Słusznie kombinował, że wśród zdrowych rówieśników rozwój i edukacja córki przyniosą lepsze wyniki. Niestety nauczyciele uważają nienadającego za klasą ucznia za zawałidrogę. Nie chodzi o nadążanie w sensie fizycznym. Wzdragają się w przyjmowaniu do normalnych klas dziecka opóźnionego intelektualnie. Bo można iść z materiałem

dalej, gdy wszyscy podopieczni zrozumieją, o co w nim chodzi.

Tata dotarł do ministrów i premiera. Dzięki Warszawie przezwyciężył opór szkoły i jej organu założycielskiego, czyli gminy Kępno. Uznano jego argument, że rodzice mają prawo do wyboru szkoły dla dziecka, również niepełnosprawnego.

Oraz kolejny. Że skoro córka jest niepełnosprawna, szkoła musi zapewnić jej stosowne wsparcie, żeby zasypać przepaść dzielącą chore dziecko od zdrowych rówieśników.

Chcemy nauczyciela wspomagającego – uszczegółowił tata. – Marysia musi mieć stałą opiekę jednej osoby, która będzie nad nią czuwać i wspierać ją w procesie edukacyjnym i integracyjnym.

Jak relacjonuje „Gazeta Polska”, wspomagający belfer przysługuje tylko dzieciom autystycznym i z tzw. wadami sprzężonymi. Zatrudniono więc asystentkę nauczyciela w wymiarze trzydziestu godzin tygodniowo.

Fachowcy potwierdzają: to jest fajne, ale w Warszawie na razie nierealne. Co dopiero w Kalisziem. Tylko „w innych krajach UE w nauczaniu włączającym osoba niepełnosprawna intelektualnie ma nauczyciela wspomagającego czy asystenta” (za pracą „Zespół Downa w XXI wieku”, wydaną przez Stowarzyszenie Rodzin i Opiekunów Osób z Zespołem Downa „Bardziej Kochani”).

Np. w Norwegii asystentów mają wszystkie niepełnosprawne dzieci, które

ukończyły 18 lat. Pomagają podopiecznym załatwić urzędowe sprawy czy gospodarować pieniędzmi.

Asystentka organizowała Marysi zajęcia, żeby podczas lekcji nie przeszkadzała innym. Wspierała przy odrabianiu prac domowych. Była „**przewodnikiem po szkole**”. Miła. Bardzo się starała, ale niestety złożyła wypowiedzenie.

„O zmianie dowiedzieliśmy się jako rodzice przypadkowo pod koniec wakacji” – wyplakuje się w „Naszym Dzienniku” ojciec Marysi. Dziwne, że rodzice dziewczynki nie wiedzieli o planach asystentki wcześniej, skoro była tak cenna dla ich rodziny. Że nie przekonali jej, aby została.

Ojciec kamieniuje bezdzusnych urzędników. Jak gdyby mieli obowiązek za-trzymać ulubienicę córki. Co gorsza, ograniczyli liczbę godzin wsparcia do dwudziestu w tygodniu.

Szkoła umywa ręce. Jeśli ktoś jest winien, to organ prowadzący, czyli gmina. Gmina wskazywała, że może szkoła. Ewentualnie kuratorium oświaty.

Tym razem minister Zaleska nie pomogła. Bo przepisy nie są jednoznaczne.

Córka. Pozbawiona pomocnicy dziewczynka, za którą na pierwszej stronie ujęła się „Gazeta Polska” w artykule o wymownym tytule „Krzywdą dziecka”, to córka Witolda Tomczaka. Lekarza, a przede wszystkim polityka Prawicy Rzeczypospolitej i Solidarnej Polski. Posła i europosła szerzej znanego z postępowania o uszkodzenie w galerii „Zachęta” rzeźby przedstawiającej J.P.2 przyniesionego meteorytem. Polityk razem z posłanką Haliną Nowiną-Konopczyną usunął meteoryt z dzieła włoskiego twórcy. Już po wzięciu władzy przez PiS proces został prawomocnie zakończony warunkowym umorzeniem. W 2017 r. Tomczak został ulaskawiony przez Andrzeja Dudę.

Dobrze, że Marysia miała i ma przewodnika po szkole. Szkoda, że nie mają takiej pomocy rówieśnicy chorzy na tę samą chorobę. W Polsce jest kilka tysięcy takich dzieci i ich sytuacja w ogóle nie budzi niepokoju dziennikarzy „Gazety Polskiej”.

BOŻENA DUNAT
bdunat@redakcja.nie.com.pl

Na piasku
i z piasku.

Zamki niebłyskawiczne

Opowieści prezesa o tym, że PiS zawsze dotrzymuje słowa, najlepiej zilustrować obiecywaną przezeń odbudowę zamków kazimierzowskich.

Kazimierz Wielki w ciągu 37 lat panowania wybudował 55 zamków. Średnio daje to 1,5 zamku rocznie.

Po dwóch latach od wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego („Polska powinna być piękna, bo to jest element konsolidujący naszą wspólnotę. Stąd Fundusz Odnowy Zabytków. Stąd plan odbudowy zamków kazimierzowskich. Tych, które budował Kazimierz Wielki”) nie ruszyła żadna odbudowa, chociaż pomysł podchwycił i wsparł autorytetem minister kultury i dziedzictwa narodowego, wicepremier Piotr Gliński.

Miało być tak pięknie...

Powołano Narodowy Fundusz Ochrony Zabytków (NFOZ), czyli fundusz celowy, którym rozporządzać miał tylko minister kultury. Smał miał pochodzić nie z budżetu, ale z wpływów z kar administracyjnych oraz nawiązek i wyroków karnych orzekanych w sprawach niszczenia bądź uszkodzenia zabytków. Wprowadzono bowiem zasadę, że „kto niszczy zabytki, płaci na zabytki”.

Drogo płaci. Klepnięty w ustawie cennik za wykonywanie w obrębie zabytku prac bez zezwolenia pozwalał na wlepianie kar od 500 do 500 tys. zł. Z zastrzeżeniem, że kwoty z górnej granicy widełek będą wpłacane do NFOZ, jeśli ktoś rozpirzy zabytek w drobny mak. Oczywiście przy tej okazji PiS popodwyższało też wszystkie inne przewidziane prawem kary za psucie historycznych zabudowań.

Teraz nawet jeżeli wobec kogoś sąd orzeknie popełnienie nieumyślnego przestępstwa wobec zabytku – choćby przez przypadkowe wjechanie weń samochodem – to wyrok taki może się wiązać z karą nawiązki na rzecz NFOZ w wymiarze od 3-krotnego do 30-krotnego minimalnego wynagrodzenia brutto.

„Środki z Narodowego Funduszu Ochrony Zabytków będą przeznaczane na pomoc zniszczonym zabytkom, na rzecz wzmocnienia ich ochrony i zabezpieczenia. Przewidywane roczne wpływy do funduszu to

16 mln zł rocznie” – mówiła w Sejmie generalna konserwator zabytków wiceminister kultury Magdalena Gawin.

Przepisy oraz NFOZ zaczęły hulać od 1 stycznia 2018 r.

Wojewódzcy konserwatorzy zabytków ruszyli w teren, wyposażeni w nowe zadania i kompetencje. Mieli zacząć poszukiwać pieniędzy, czyli nakładać tyle kar administracyjnych, ile się da.

Miało dać się zebrać 750 mln zł. Bo na tyle oszacowano koszt zamkowej fanaberii Kaczyńskiego.

Ruina w ruinie

Ponieważ obietnice prezesa PiS wiele osób w Polsce bierze serio, to już w 2017 r. skrzynka mailowa resortu kultury grzała się od pytań o zasady finansowania odbudowy zamków. Do resortu wpływały też konkretne projekty opracowane przez samorządowców.

Urzednicy spławiali zainteresowanych, wykorzystując to, że większość z nich miała na swoim terenie jakieś pozostałości po starodawnych budynkach. Zaś oficjalny status prawny takiego czegoś to „trwała ruina” i jako taka jest objęta ochroną konserwatorską. W związku z czym nie wolno tam nic budować.

Samorządy odpuściły resztki kazimierzowskiej murowanej świetności. Pojawili się jednak nowi wnioskodawcy. Tacy, u których po zamkach kazimierzowskich nie ma śladu. Dzięki czemu mogą budować to, co chcą, bez narażania się konserwatorowi zabytków.

Oczywiście wnioskujący o to doskonale zdawali sobie sprawę, że postawiony w ten sposób budynek przez nikogo przy zdrowych zmysłach nie zostanie zakwalifikowany jako zabytek. Ale każdy wnioskodawca chciał sobie strzelić coś takiego jak strzelił Poznań. Czyli zamkopodobny budynek użyteczności publicznej.

Bydgoszcz tak właśnie ma. Od miesięcy lobbuje w Warszawie o kasę na



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

kazimierzowskie orle gniazdo. Po zamku bydgoskim nie ma już śladu. Tylko gdzieś pod ziemią zachowały się fragmenty murów z XIV w. Zamek spalili Szwedzi w 1656 r., a resztki rozebrali w 1895 r. Niemcy. Jediną dzisiejszą pamiątką po ceglanej warowni jest ulica Przy Zamczysku. Tam, gdzie 500 lat temu był zamek, stoi dziś parterowy budynek przedszkola z placem zabaw.

Ministerstwo Kultury prowadzi z Bydgoszczą ożywioną korespondencję od miesięcy, a jej efekty sprzeczają się do nieobiecanych samorządowcom niczego.

Ostatnio bydgoscy rajcy się wściekli. W grze o smał na odbudowę pojawił się nowy zawodnik i na do-

datek już dostał zapewnienie finansowania.

Bielan budowniczy

Radomiowi – bo o nim mowa – jako posiadaczowi jedynego w Europie czynnego lotniska, z którego nikt nie chce startować ani na którym nikt nie chce lądować, brakuje do pełni szczęścia zamku kazimierzowskiego.

Zamku, o którym do czasu przemowy Kaczyńskiego nikt nawet nie pamiętał. Do dziś został z niego tylko podpiwniczony parterowy budynek, w którym jest plebania.

„Mamy wszystkie deklaracje polityczne, w tym premiera Mateusza Morawieckiego, ministra kultury Piotra

Glińskiego, mamy wstępnie zabezpieczone pieniądze. Brakuje nam jedynie pewnej formuły organizacyjnej, potrzebujemy instytucji, która przyjmie dotację, zajmie się organizacją odbudowy i zagospodarowaniem obiektu” – opowiadał niedawno w Radomiu wice-marszałek Senatu Adam Bielan. Najbardziej słuchał go prawny właściciel obiektu biskup radomski Henryk Tomasiak. Bo to Tomasiak będzie największym wygranym. Za coś, w czym nawet księżom mieszka się niewygodnie, dostanie tyle, ile sobie wymyśli.

Najciekawsze jest jednak to, co Bielan miał naprawdę na myśli. Bo nie była to wizja odtworzenia zamczyska z wieżami, murami, fosą i mostem zwodzonym. Koncepcja odbudowy zamku w Radomiu (co powinno nieco uspokoić radnych z Bydgoszczy) zakłada nadbudowanie nad budynkiem parafii jeszcze jednego piętra i zrobienie w nader zwyczajnie wyglądającym budynku muzeum.

Najciekawiej będzie jednak, gdy przerabianie plebanii na muzeum się skończy. Nie będzie bowiem co do niego wstawić. Chyba że któreś ze stołecznych muzeów będzie wolało trzymać tam – zamiast w magazynach – część swoich zbiorów.

Tajemnica plebanii

Nadbudowana plebania w Radomiu, zwana „zamkiem”, jak na taką budowlę przystało, ma swoją zagadkę. Skąd Bielan zamierza wziąć na remont i nadbudówkę kilka milionów złotych? Najprostsza odpowiedź, czyli że z Narodowego Funduszu Odbudowy Zabytków, jest błędna.

Co prawda wiceminister Gawin wspominała o wpływaniu na konto funduszu 16 mln zł rocznie, ale przeszacowała. Przez pierwsze pół roku NFOZ zebrał trochę ponad 50 tys. zł. Potem konserwatorów zabytków pogoniono i mieli nakładać kary za każdą duperele. No to nakładali. Dzięki temu na koniec roku 2018 fundusz miał do dyspozycji niecałe 700 tys. zł. A za tyle to w „radomskim zamku kazimierzowskim” nie robi się nawet dachu.

TADEUSZ JASIŃSKI

PS Ponieważ autor od tygodni nie może się doczekać, aż urzednicy MKiDN dowiedzą się o stanie konta NFOZ i mu te dane wysłać, to pozwala sobie poinformować pracowników Glińskiego, że 31 grudnia 2018 r. należności wobec funduszu wynosiły 1 365 900 zł, a rzeczywiste wpłaty 649 271,12 zł. Tytułem nawiązki na konto funduszu wpłynęło 50 173,91 zł ze 102 446,57 zł orzeczonych na podstawie dwudziestu wyroków karnych.

Gdy prezes Kaczyński mówił 4 lata temu, że nadchodzi czas na polskie superprodukcje w stylu hollywoodzkim, które zapewnią kina i dadzą polskim filmowcom laury na światowych festiwalach, nie wiedział, że jest prorokiem.

Wicepremier Gliński w materii filmowej też szokuje skromnością. Bo jak zinterpretować jego słowa sprzed kilku miesięcy, że „produkcja hollywoodzka to od pomysłu do premiery co najmniej 5–6 lat. Na ogół dłużej. My jeszcze 3 lat nie rządźmy. Ale staramy się to robić. Uspokajam też wszystkich, że to nie minister robi filmy, tylko twórcy. Jeśli przynoszą dobre pomysły, to je wspieramy, jeśli nie, to nad nimi dalej pracujemy. Od tego mamy Polski Instytut Sztuki Filmowej i niezależne komisje eksperckie. To trwa, ale dzieje się?”

...

Gdy to mówił, kina przeżywały nienotowane w tym stuleciu zatrzęsienie widzów na polskich filmach. Rekord sprzedanych biletów w weekendzie otwarcia. Takie same rekordy były w kolejnych tygodniach, żeby w końcu film zrealizowany przez Polaków zszedł z ekranów z wynikiem 5,2 mln sprzedanych biletów. Zostawiając w historycznych zestawieniach daleko w tyle kalifornijskie „Avatary” czy „Titaniki”.

Wcześniej w Cannes Polak, za całkiem inną produkcję, zgarniał Złotą Palmę, by przez wiele miesięcy móc dostawiać inne prestiżowe nagrody filmowe i przegrać honorowo 3 nominacje do Oscarów z amerykańskim imigrantem z Meksyku.

Rok temu okazało się, że polska kinematografia nie musi korzystać z hollywoodzkich scena-

rystów, reżyserów i gwiazd. Bo to Kalifornia dobija się o aktora Kota, aktorkę Kulig, o innych nie wspominając. Tak jak o reżyserach czy całych zespołach zatrudnianych przez amerykański przemysł filmowy do robienia przez Polaków seriali oglądanych przez miliony widzów na całym świecie.

To nie my ściągaliśmy z Ameryki Jamesa Camerona. To Ameryka zatrudniła naszych Kaspę Bajona i Jana Holoubka, którzy zrobili dla Showmaksu perełkę serialową, czyli kryminalnego „Rojsta”.

To dla amerykańskiego HBO Krzysztof Skonieczny i Jakub Żulczyk nakręcili w Polsce „Ślepnąć od światła”. Zaś Agnieszka Holland z córką wyreżyserowały Netflixowi „1983” – serial, którego Polacy nie umieją oglądać, ale który za granicą widzieli już miliony, zaś jego recenzje w świecie są lepsze niż u nas. Dodajmy do tego całkiem udany polski serialowy thriller „Znaki” dla AXN i zobaczymy, że nasi filmowcy mają co robić. I to za dolary.

...

Ojcowie sukcesu polskiej kinematografii poczucia szczęścia nie mają. Gliński „Kleru” nie widział, ale wie, że to zły film. Kaczyński

Pollywood

Sukcesy polskiego kina są najlepszym dowodem na to, że PiS nie potrafi nawet zepsuć.



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Teraz Gliński musi wysyłać gratulacyjne tweety Pawlikowskiemu i udawać radość na widok Holland.

Najgorsze dla ludzi władzy jest to, że nawet jeśli wiedzą, co w krajowej maszynie do robienia filmów popsuc, to im też nie wychodzi. W PISF wygonili poprzednie złogi i okazuje się, że oprócz „Klechy” milionowe dotacje wciąż dostają inne niemiełty władzy filmy. Gdy chciano wynieść produkcję filmową z Warszawy i przenieść Chełmską do Nowego Miasta nad Pilicą, tworząc tam Barrandov czy Cinnecitę, to też zdechło.

Nawet pomysł stworzenia pisowskiego Mosfilmu poprzez połączenie Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych, Studia Miniatur Filmowych oraz studiów Kadr, Tor, Zebra i Kronika też wicepremierowi nie wypalił.

...

Jedno, co działa, to robienie filmów przez zasilanie miliardami z budżetu telewizji Kurskiego. Dzięki temu władza ma historyczną superprodukcję. Nazywa się „Korona królów”, a jej oglądalność jest porównywalna z ocenami reżyserii i aktorstwa, przy którym słowo „drewniane” brzmiałoby jak pochwała.

PiS, nie mając pojęcia o robieniu czegokolwiek poza rozdawaniem i obiecywaniem, nie jest zatem w stanie zagrozić polskiej kinematografii. Przynajmniej na razie. Całe szczęście, bo wizja superprodukcji wymarzonej przez Kaczyńskiego tak się ma do dobrego filmu, jak 34 tysiące widzów w pierwszym weekendzie wyświetlania komiksu o siostrze Faustynie „Miłość i miłosierdzie” do 934 tysięcy widzów, którzy w takim samym czasie obejrzelili „Kler” Smarzowskiego.

T.J.

PAPierdółki

Polska Agencja Prasowa zeszła na PiS-y.

Zgodnie z ustawą Polska Agencja Prasowa (PAP) jest spółką skarbu państwa, która „uzyskuje i przekazuje odbiorcom rzetelne, obiektywne i wszechstronne informacje z kraju i z zagranicy”. PAP „nie może znaleźć się pod prawną, ekonomiczną lub inną kontrolą jakiegokolwiek ugrupowania ideologicznego, politycznego lub gospodarczego”.

Oto, jak w praktyce przestrzegane są zapisy ustawy.

Ludziki

W kwietniu 2016 r. prezesem PAP został **Artur Dmochowski**. Nominację przyklepał osobiście Jarosław Kaczyński. Prezes PiS nie musiał się długo zastanawiać. Dmochowski to były dziennikarz pisowskich biuletynów propagandowych: „Gazety Polskiej”, „Gazety Polskiej Codziennie” i portalu Niezależna.pl.

Nowy prezes zatrudnił na kierowniczych stanowiskach odpowiednio wykwalifikowanych pomocników. Pierwszym zastępcą redaktora naczelnego zrobił **Cezarego Bielakowskiego**, który pod koniec rządów PO-PSL pisał we „Wprost” o aferze podsłuchowej i rzekomych nadużyciach przy kontrakcie na zakup śmigłowców Caracal. Obydwa tematy były maczugą, którą PiS waliło w czasie kampanii wyborczej w PO i PSL.

Redakcją krajową kieruje **Piotr Kotomski**, były sekretarz redakcji portalu Niezależna.pl i dziennikarz „Gazety Polskiej Codziennie”. Po protestach w obronie sądów Kotomski podpisał się pod listem reżimowych dziennikarzy do międzynarodowej opinii publicznej, że w Polsce „trwa próba doprowadzenia do destabilizacji życia politycznego (...) za pomocą demonstracji”.

Zastępcą Kotomskiego jest **Jakub Pilarek** z „Gazety Polskiej Codziennie”, specjalista od komentarzy. Prezydenta Komorowskiego nazwał „błaznem, którego kocha Moskwa”, Donalda Tuska „największym szkodnikiem III RP”, a rząd PO-PSL określił jako „aferalno-agenturalny”. Dla Pilarka „wiera rzymskokatolicka i Kościół rzymskokatolicki są niezbywalnymi elementami krajobrazu w archipelagu polskości”, zaś „planowa i konsekwentna walka z Kościołem, której celem jest wyrugowanie go z przestrzeni publicznej, jest w gruncie rzeczy walką z polsnością”, w czym „specjalizuje się »Gazeta Wyborcza«”.

Szefem redakcji anglojęzycznej został **Paweł Korsun**, publicysta wspierającego PiS tygodnika „Sieci Prawdy”. W felietonach TVN nazywa telewizję „TFalszN”, Grzegorza Schetynę „S(he)hieną”, a PO „padlinożerca-mi”. Podczas czatu z czytelnikami (w 2013 r.) mówił o Gowinie (który był ministrem sprawiedliwości w rządzie Donalda Tuska): „Gra przede wszystkim na sobie. Nie przyda się nam. To znaczy przyda się, jeśli wykończy swojego obecnego szefa”.

Na czele działu opinii i komentarze stanął **Mariusz Pilis**, reżyser filmu o katastrofie smoleńskiej „List z Polski”, w którym porównał wypadek prezydenckiego samolotu z rozbiorami i zbrodnią w Katyniu. „List z Polski” na płycie CD był rozpozszechniany jako dodatek do „Gazety Polskiej”. Pilis z Dmochowskim napisali też książkę pod tym samym tytułem będącą rozszerzeniem filmu. W TVPiS Pilis był przez jakiś czas szefem Telewizyjnej Agencji Informacyjnej. Zwolnił z pracy dwie wydawczynie za to, że chciały zbyt obszernie transmitować marsz Komitetu Obrony Demokracji.

To egzotyczne towarzystwo uzupełniają członkowie rady nadzorczej



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

PAP – przewodniczący **Janusz Niedziela** i wiceprzewodniczący **Maciej Świrski**.

Niedziela to kumpel Kaczyńskiego jeszcze z czasów Porozumienia Centrum (PC). W rządzie Akcji Wyborczej Solidarność był wiceministrem sprawiedliwości. Bezsukcesyjnie kandydował do Sejmu i Parlamentu Europejskiego z list PiS. Był członkiem Trybunału Stanu i Rady Nadzorczej TVP z nominacji partii braci Kaczyńskich. W 2016 r. Beata Szydło zrobiła Niedzielę prezesem Polskiej Agencji Żegluga Powietrznej. Po dwóch latach zrezygnował ze stanowiska z powodu konfliktu z ministrem infrastruktury Mikołajem Wildem.

Świrski uważany jest za człowieka wicepremiera Piotra Glińskiego. Zasiadał w zarządzie skompromitowanej Polskiej Fundacji Narodowej.

Znany jest z pieniactwa. Założył Fundację Redutę Dobrego Imienia – Polską Ligę Przeciw Zniesławieniom. Walczył m.in. z nagrodzonym Oscarem filmem „Ida”. Twierdził, że film „może wywołać w widzach fałszywe przeświadczenie, że to Polacy wymordowali europejskich Żydów”, a od Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej domagał się umieszczenia w czołówce filmu informacji o sytuacji Polaków podczas II wojny światowej. Do prezydenta Andrzeja Dudy Świrski skierował petycję z żądaniem pozbawienia historyka Jana Tomasza Grossa Krzyża Kawalerskiego Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej. Twierdził, że „Gross to oszczerca wyjątkowo szkodliwy, który pod pozorem pracy naukowej prowadzi kampanię zniesławień i zniewag przeciwko Polsce”. Świrski słynie z wytyczania licznych procesów za rzekome szkalowanie Polski i Polaków. Podpadł mu m.in. były premier Belgii Guy Verhofstadt, argentyński portal Pagine12 i niemiecki dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung”. Jednak polskie sądy odrzuciły wszystkie pozwy, oceniając je jako bezzasadne.

Kaska

Dmochowski rządził PAP 1,5 roku. Odszedł, doprowadzając spółkę na skraj bankructwa. Okazało się, że jednym z powodów były gigantyczne pensje kadry menedżerskiej. PAP musiała ratować się kredytem i dotacją z budżetu państwa. Dmochowskiemu krzywdą się nie stała – został ambasadorem w Czarnogórze.

Miejsce Dmochowskiego zajął **Wojciech Surmacz**, były pracownik związanej ze SKOK-ami spółki medialnej

Fratrria. Na zastępcę Surmacza PiS delegowało **Łukasza Świerżewskiego**, dyrektora departamentu komunikacji i promocji w Ministerstwie Finansów.

Pod takim kierownictwem PAP, cenniona niegdyś za profesjonalizm i rzetelność, tworzy fejk na użytek władzy, które potem są powielane przez inne media.

Kłamstewka

- Wtorek, 4 kwietnia 2017 r. Na kilka dni przed kolejną rocznicą katastrofy smoleńskiej PAP puściła depeszę z newsem o wezwaniu na świadka Donalda Tuska w procesie Tomasza Arabskiego, którego rodziny niektórych ofiar katastrofy oskarżyły o niedopełnienie obowiązków podczas organizacji lotu prezydenta. „We wtorek przed Sądem Okręgowym w Warszawie prok. Przemysław Ścisbiś wniósł o przesłuchanie Tuska jako świadka; sąd na razie nie wyznaczył terminu przesłuchania. Prokuratura uczestniczy w rozprawach jako »strażnik praworządności«” – napisano w depeszy.

News szybko stał się sensacją dnia. Jednak prokuratura wszystkiemu zaprzeczyła. „W związku z informacjami medialnymi wskazującymi, że w dniu dzisiejszym na rozprawie przed Sądem Okręgowym w Warszawie prokurator złożył wniosek o przesłuchanie byłego Prezesa Rady Ministrów Pana Donalda Tuska, uprzejmie informuję, że powyższe doniesienia nie są prawdziwe” – oświadczył prokurator Michał Dziekański z Prokuratury Okręgowej w Warszawie.

- Głównym bohaterem afery Komisji Nadzoru Finansowego jest były szef tej instytucji Marek Chrzanowski, który złożył propozycję korupcyjną bankierowi Leszkowi Czarneckiemu. W zamian za przychylność szef KNF i jednocześnie protegowany prezesa Narodowego Banku Polskiego Adama Glapińskiego oczekiwał zatrudnienia swojego prawnika z wynagrodzeniem 40 mln zł w nadzorowanym przez Czarneckiego banku. Jeśli bankier nie poszedłby na układ, ludzie związani z PiS przejęliby jego bank. Nagrana przez Czarneckiego rozmowa wywołała popłoch w obozie władzy. Prokuratura wszczęła śledztwo, szef KNF trafił do aresztu. Pisowskie media przypuściły atak na Czarneckiego, próbując go zdyskredytować. PAP dołożyła swoje 3 grosze. Na początku marca 2019 r. poinformowała, że Czarnecki nie stawiał się w wyznaczonym przez prokuraturę terminie na badanie wykrywaczem kłamstw. W depeszy, którą zamieściło wiele serwisów internetowych i przytoczyły inne media, zaznaczono, że PAP dowiedziała się tego „ze źródeł zbliżonych do śledztwa”. „Jak dowiedziała się PAP, kiedy biznesmen nie stawiał się na badania, Roman Giertych powiadomił

SMS-em organy ścigania, że jego klient wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Zaproponował, żeby właśnie tam prokuratura przeprowadziła takie badania. Prokuratura nie ma takich prawnych możliwości, nawet gdyby badania miały się odbyć w polskim konsulacie w USA – ustaliła PAP. Czynności konsularne nie obejmują bowiem możliwości przeprowadzenia badań wariograficznych” – napisano w depeszy.

Okazało się, że informacja jest nieprawdziwa.

„Kłamstwem jest, że ustalałem na wczoraj termin przesłuchania Leszka Czarneckiego z użyciem wariografu. Osoby, które podały tę fałszywą informację, poniosą konsekwencje prawne. I nie otrzymaliśmy żadnego wezwania. Biegły przeprowadzający badanie L. Czarneckiego wariografem poinformował nas, że nie wyznaczał żadnego terminu badania w lutym. Informacja podana w piątek przez PAP była więc od początku zwykłym kłamstwem. Będę sugerował mojemu klientowi pozew o zadośćuczynienie i przeprosiny” – oświadczył Roman Giertych.

- Podobnie było w przypadku Stefana W., który zamordował prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. Aby odwrócić uwagę od istoty sprawy, PAP wypuściła sensacyjną informację: „Dzień po zwolnieniu z więzienia Stefan W. próbował wdrzeć się w nocy na teren Pałacu Prezydenckiego”. Oczywiście powołano się na „źródła zbliżone do śledztwa”. Stefan W. do stolicy miał przylecieć samolotem i pójść do kasyna. „Jak zeznał, około trzeciej w nocy przyszedł przed Pałac Prezydencki. Chciał się dostać na jego teren. Nie zdołał sforsować ogrodzenia i ostatecznie zrezygnował. Rano wrócił na gapę pociągami do Gdańska” – napisano.

Tymczasem Służba Ochrony Państwa i rzecznik Dudy zaprzeczyli, by miało dojść do takiego zdarzenia.

Gdy kłamstwo wyszło na jaw, PAP zamieściła kolejną depeszę.

Powołując się na prokuraturę, napisano, że po opuszczeniu zakładu karnego W. był w Warszawie – w tym przy Pałacu Prezydenckim – i „mógł planować popełnienie przestępstwa”.

„Nieprawdziwa, jak się okazuje, informacja, podana przez państwową agencję, zdaniem dziennikarzy mogła być na rękę rządzącym. (...) Pozostają pytania o możliwe manipulacje informacjami ze śledztwa ws. zamachu w Gdańsku” – stwierdził Bertold Kittel z TVN 24.

- Równie rzetelnie przedstawiana jest przez PAP afery spółki Srebrna. Propagandziści partii rządzącej próbują zdyskredytować poszkodowanego Austriaka, a wybielić Jarosława

Kaczyńskiego. Zamieszczono więc „ekskluzywny” wywiad z prezesem PiS, bez trudnych i krępujących pytań („Jakie stanowisko przedstawi pan w prokuraturze, jeżeli zostanie wszczęte postępowanie?” albo „Opozycja i część mediów zarzucają panu, że podejmując rozmowy z austriackim biznesmenem, złamał pan artykuł 24 ustawy o partiach politycznych. Czy rzeczywiście?”).

Gdy „Gazeta Wyborcza” opublikowała fakturę wystawioną na spółkę Srebrna, której Kaczyński nie chciał zapłacić, czujni reporterzy PAP ustalili, że Gerald Birgfellner korzystał z pirackiego oprogramowania. Do newsa dodano wypowiedź rzeczniczki PiS Beaty Mazurek, która stwierdziła, że faktura nie jest podstawą do dokonania płatności, bo nie wiadomo, o co w niej chodzi, i oświadczenie prezski Srebrnej Małgorzaty Kujdy, że faktura nigdy nie została doręczona i nie była księgowana. Z tak zestawionych informacji wynika niezbicie, że Birgfellner jest nie tylko oszustem, ale i złodziejem.

Gdyby taka informacja nie przekonała „ciemnego ludu”, PAP zaserwowała kolejnego newsa: „Według nieoficjalnych informacji PAP Birgfellner, choć miał przyznać, że nagrywał, nie pamięta szczegółów samego nagrywania. Kiedy nagrywał? Birgfellner – według źródła PAP – powiedział, że nie pamięta. Nie pamięta także, na jakim sprzęcie były rejestrowane rozmowy ani gdzie znajdują się oryginalne nagrania. Stwierdził też, że nie wie, ile nagrał, i co – informują źródła PAP”. Czyli Austriak jest jeszcze debilem.

- Pisowska władza zaproponowała nauczycielom podwyżki na poziomie 140–220 zł przy jednoczesnym zwiększeniu godzin pracy. Depesza PAP po podpisaniu porozumienia między rządem a nauczycielską „Solidarnością” została tak zmanipulowana, by wynikało z niej, że nauczyciele dostaną kokosy, i jednocześnie, aby podburzyć opinię publiczną przeciwko strajkującym: „Średnie wynagrodzenie nauczyciela stażysty od września 2019 r. ma wynieść 3335 zł, kontraktowego 3702 zł, mianowanego 4803 zł, a dyplomowanego 6137 zł – wynika z dokumentu podpisanego w niedzielę. Według dokumentu łączne podwyżki wynagrodzenia zasadniczego nauczycieli wzrosną w odniesieniu do stycznia 2017 r. dla nauczycieli stażystów o 515 zł, kontraktowych o 529 zł, mianowanych o 601 zł, a dyplomowanych o 706. Łączne podwyżki średniego wynagrodzenia wzrosną w odniesieniu do stycznia 2017 r. dla nauczycieli stażystów o 617 zł, kontraktowych o 685 zł, mianowanych o 890 zł, a dyplomowanych o 1136 zł”.

Presyjska

To, jak wygląda praca od kuchni w PAP, ujawnił były dziennikarz gospodarczy spółki Aleksander Pudłowski, któremu usunięto depeszę informującą o tym, że prezes NBP Adam Glapiński jest krytyczny wobec sztabowego programu rządu dotyczącego Pracowniczych Planów Kapitałowych (PPK). Pudłowski na znak protestu złożył wypowiedzenie i odszedł z PAP.

„Moje odejście traktuję jako zwrócenie uwagi na krytyczny problem i bezprecedensowe zachowanie kierownictwa, które nie powinno mieć nigdy miejsca” –

napisał dziennikarz w liście pożegnającym do współpracowników PAP.

Sprawą zainteresował się Rzecznik Praw Obywatelskich, który wyraził „zaniepokojenie zaistniałą sytuacją, dotyczącą polityki kadrowej w Polskiej Agencji Prasowej” oraz „niezagwarantowania dziennikarzom możliwości wykonywania swojej pracy bez nacisków i niepotrzebnej ingerencji”.

ANDRZEJ SIKORSKI
nie@redakcja.nie.com.pl

Wieści
gminne
i inne

Fabryka traktorów Ursus SA zwolni 220 pracowników w zakładzie w Lublinie, aby uratować się przed bankructwem. Robotnicy po zwolnieniu ratować się będą sami. Dyrekcja Ursusa dokładnie nie wie, dlaczego po 125 latach istnienia fabryka bankrutuje, zwłaszcza że jeszcze w zeszłym roku wydała prawie 30 mln zł z dotacji unijnych na opracowanie zintegrowanego systemu sterowania przekładni power shuttle oraz na aplikację dla systemów przeniesienia mocy synchronesh. Jedną z hipotez głosi, że skończyły się dotacje unijne na zakup traktorów Ursusa dawane rolnikom. Nastąpił spadek popytu na traktory Ursusa, czyli rolnicy ich już nie kupują.

Wykładowca Instytutu Nauk Prawnych Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie twierdzi, co jawił na Twitterze, że komendanci tej szkoły w środowisku policyjnym utożsamiani są z bohaterami komedii „Głupi i głupszy”. Ta policyjna Sorbona, zdaniem pana doktora, to „przykładowa zawodówka”. Uczony zdradza, że jeden z komendantów doktorów policjantów habilituje się z niezrozumiałej dla ekspertów bezpieczeństwa „teorii ruchomych przestrzeni”, której sam jest autorem. Komendant rektor uczelni pisze pozew o naruszenie dóbr osobistych przez podwładnego; w pozwie chce się domagać 50 tys. zł na cele charytatywne. Najbardziej ubodło rektora to, że w jednym z akapitów szkalującego go pisma został nazwany „brakującym ogniwem teorii Darwina”. Wyjaśniamy, że w teorii Darwina nadal więcej jest brakujących ogniw niż twardych dowodów, których jest mniej.

Dwaj mieszkańcy Jeleniej Góry w rzece Bóbr znaleźli pocisk artyleryjski produkcji radzieckiej z okresu II wojny światowej. Zapakowali go w reklamówkę i z braku lepszego pomysłu zanieśli na komisariat. Policja w Jeleniej Górze prosi poszukiwaczy pocisków w rzekach, aby więcej nie przy-

nosili jej pocisków, zwłaszcza radzieckich. Wykonane są one z solidnej stali chroniącej wnętrze z materiałem wybuchowym, który nadal jest wybuchowy, a policja nie chciałaby wybuchnąć.

Młodzi i gniewni radni Katowic indagowali szefostwo samorządowej Instytucji Kultury im. Krystyny Bochenek na okoliczność wizyty na Jamajce. Kierowniczka placówki Tamara K. wyjaśniła, że zaproszenie przyszło do Katowic z jamajskiego Ministerstwa Kultury. Korzyści z wizyty są, ponieważ pani Tamara udzieliła wywiadu dla ogólnokrajowej rozgłośni radiowej na Jamajce i uczestniczyła w panelu zorganizowanym przez Uniwersytet Jamajski. Podjęto także decyzję o wymianie artystycznej między Jamajką a Katowicami w latach 2020–2022. Nie bez znaczenia również było to, że w drodze na lotnisko w Warszawie pani Tamara zahaczyła o polskie Ministerstwo Kultury, gdzie miała ważne kulturalne spotkanie.

Pacjent oddziału wewnętrznego-geriatrycznego Wojewódzkiego Szpitala im. Marii Skłodowskiej-Curie w Zgierzu z niejakim niesmakiem narzekał na dwóch leżących po bokach towarzyszy, którzy obrzydili mu śniadanie. – Przyprawili mnie niemal o odruch wymiotny – twierdził. Rzecznik prasowy szpitala podkreśla, że wszystko odbywało się zgodnie z rozporządzeniem ministra zdrowia z 10 kwietnia 2012 r., które nie wymaga przenoszenia zmarłych pacjentów do osobnego pomieszczenia, nawet jeżeli żywi muszą konsumować śniadanie.

Na drodze wojewódzkiej nr 297 w okolicach Lwówka Śląskiego kierowcy natknęli się na leżącą w poprzek drogi trumnę z lokatorem. Policja ustaliła, że trumna wypadła z karawanu, który wioził ją do spalenia w krematorium w Jeleniej Górze. Pozostawianie trumien w miejscach publicznych nie jest legalne, dlatego ekipie transportującej ją karawanu, z którego wypadła, postawiono zarzuty bezczeszczenia zwłok.

Szakał złoisty został potrącony przez samochód w Krakowie. Ten szakał złoisty

był zarazem jedynym znanym egzemplarzem szakała złoistego w Polsce. Eksperti z Polskiego Związku Łowieckiego twierdzą, że to raczej dobrze, ponieważ szakał złoisty, funkcjonując inwazyjnie, mógłby zagrażać rodzimym zwierzętom, np. sarnom, które nie znają technik polowania szakała złoistych, nie potrafiłyby więc się przed nim obronić. Ten konkretny szakał złoisty już nie będzie inwazyjny, bo po wypchaniu go trocinami trafić ma do nadleśnictwa w Niepołomicach, gdzie zostanie eksponatem edukacyjnym.



233 uczniów Szkoły Podstawowej w Uszwi zwołanych zostało na szkolny apel, podczas którego poruszono sprawę ich 14-letniego kolegi, który na oczach kamery ze smartfonu mysz uwieczoną w szklanym pojemniku załazł wrzaskiem. Dramat filmowy, którego scenariusz wymagał uśmiercenia zwierzątka, młody reżyser opublikował na Facebooku, gdzie obejrżeli go policjanci z Komendy Powiatowej w Brzesku. Nie zważając na wartości artystyczne dzieła, dostrzegli w nim jedynie

elementy znęcania się nad zwierzętami, dlatego domagają się postawienia artysty przed sądem dla nieletnich. Nowego Wajdy to my tym sposobem nie wychowamy.

Weterynarz z Przemyśla Radosław F. za 7,5 tys. zł obiecał uratować złamane skrzydło bociana, który pokonawszy 10 tys. km z Afryki do Polski został postrzelony ze struktury tuż-tuż przed dotarciem do rodzinnego gniazda. Teraz nie może latać. Lekarz ustalił również, że ofiara strzelaniny nazywa się Alex. Nie możemy sobie wyobrazić, co pan doktor robi z pieniędzmi w sytuacji, gdyby ptak nie wrócił do zdrowia. Te wyrzuty sumienia! Ten bezmiar zawiedzionego społecznego zaufania.

W Sądzie Rejonowym w Piasecznie zapadł wyrok skazujący zawodowego pianistę za granie muzyki, której większość społeczeństwa nie chce i nie lubi słuchać – jak twierdził sędzia. Artysta bowiem, przygotowując się do zagranicznego tournée, przez 2–3 godziny dziennie grywał Liszt, Beethovena i Chopina. W proteście przeciw tej rzepoladzie sąsiedzi 60 razy nasyłali na niego policję, a następnie 28 z nich domagało się surowej kary za zakłócanie spokoju. Sąd uznał, że sprawca nie będzie dopuszczał się dalej podobnych czynów, jeżeli zapłaci 2 tys. zł grzywny. Artysta złożył apelację. Jeśli w okęgówce nie trafi na sędziego melomana, pewnie będzie musiał zapłacić 4 kafe dydaktycznej kary: 2 za granie, 2 za zawracanie głowy wymiarowi sprawiedliwości.

Nie dał się nabrać na podstęp 31-letniego Ukraińca patrol Bieszczadzkiego Oddziału Straży Granicznej, który odkrył naruszenie granicy państwa na pasie kontrolno-śladowym, gdzie były odciski stóp, z których wynikało, że ktoś pieszo pokonał granicę z Polski na Ukrainę. Wnikliwa analiza odcisków podeszew wykazała jednak, że w gruncie rzeczy intruz szedł z Ukrainy do Polski, tyle że tyłem do przodu. Po śladach butów znaleziono też właściciela obuwi. Zdecydowano się deportować spryciarza tam, skąd przyszedł, z 3-letnim zakazem przekraczania granicy strefy Schengen.

Burmistrz Otmuchowa Jan Woźniak wygrał konkurs na samorządowca roku 2018 w plebiscycie „Nowej Trybuny Opolskiej” (NTO), co zmartwiło dziennikarzy z Regionalnej Telewizji Opolskiej (RTO), ponieważ ustalił, że 100 SMS-ów na kandydaturę Woźniaka oddał sam Woźniak z telefonu służbowego, za który płacą podatnicy. Woźniak stwierdził, że tak, ale nie do końca, bo równowartość SMS-ów zrefundował gminie, na co przedstawił stosowny kwit. Regulamin konkursu natomiast nie ograniczał liczby SMS-ów, jaką mógł wysłać każdy uczestnik. To jednak nie przekonało dziennikarzy do poprawności politycznej miejscowych rządów. Przypominamy więc, że w 1949 r. Konrad Adenauer został kanclerzem Niemiec dzięki głosowaniu w Bundestagu, które wygrał jednym głosem. Był to głos Konrada Adenauera.

Życie wymierzyło policzek nachalnie promowanej doktrynie wyższości transportu publicznego nad prywatnym, doprowadzając do zderzenia w centrum Szczecina, przy Bramie Portowej, tramwaju linii 3 z autobusem linii B. Jedenastu entuzjastów komunikacji miejskiej zostało rannych, w tym jeden jest w ciężkim stanie. Prokuratura prowadzi postępowanie wyjaśniające.

Wesoło było w Krakowie, gdzie policja prowadzi postępowanie w sprawie angielskich turystów, którzy dopuścili się, jej zdaniem, nieobyczajnego wybruku i wywołali zgorszenie, chodząc bez ubrań po krakowskim Ryńku Głównym. Anglicy wzbudziły tym niesmak i oburzenie mieszkańców Krakowa i innych turystów – twierdzą policjanci. Następnie wsiadli do dorożki i wozili się wokół rynku, sięjąc zgorszenie, za co kara należy się też dorożkarzowi. Oświadczenie policji jest cokolwiek kłamliwe. Ze zdjęć zrobionym nagusom wynika, że obserwatorzy incydentu są raczej rozbawieni. Ponadto Brytyjczycy nie byli zupełnie nady – mieli buty.

R.J.

Informacje zaczerpnęliśmy z mediów lokalnych, na których całkowicie polegać się nie da. Za ewentualną kłamliwość przepraszamy w imieniu własnym i kolegów z terenu.

Wieści
z kruchty

Ruszyła zbiórka 100 tys. wymaganych podpisów pod obywatelską inicjatywą „Świeckie Państwo”. „Świeckie Państwo” domaga się wprowadzenia takich zmian ustawowych, aby finansowanie Kościoła stało się transparentne, oraz zniesienia przywilejów podatkowych dla instytucji kościelnych. Oczywiście w praktyce nic z tego nie będzie i nawet jeśli podpisy zostaną zebrane, to projekt trafi do kosza. Ale kropla draży skalę nie siłą, lecz częstotliwością spadania.

Parafianie z parafii św. Hieronima w Bytomiu Od-rzańskim też chcą transparentności finansów swojego kościoła. Poskarżyli się biskupowi zielonogórsko-gorzowskiemu. Uważają, że proboszcz ks. Ireneusz Łuczak wali w bena w sprawozdaniu finansowym i domagają się jego odwołania. Nie tyle wali w bena, co nie chce się rozliczyć z kasy. Uznali, że mają prawo do rozliczenia, gdyż kasa kościelna pochodzi z ich datków. Biskup Tadeusz Lityński odpowiedział: Parafialna Rada ds. Ekonomicznych nie jest organem kontrolnym wobec proboszcza, lecz pełni jedynie funkcje doradcze, a jej obradom przewodniczy proboszcz. I on ustala, co ma być, a co nie.

Wojciech Cejrowski, znany podróżnik i celebryta, uważa, że internetowa przeglądarka Google „cenzuruje” krzyże. Chodzi o to, że na zdjęciach satelitarnych miejscowości z widniejących na nich budynkach kościelnych „znikają” krzyże. Zdaniem Cejrowskiego to dowód na „cenzurę myśli”. Zamieścił on na swoim Facebooku zdjęcie: na szczycie

kościół faktycznie nie ma krzyża. Cejrowski przekonuje, że to sprawka algorytmu Google Earth, który usunął symbol chrześcijaństwa ze zdjęcia. Na zdjęciu zamieszczonym przez Cejrowskiego nie ma krzyża, ale jest jego cień. Po prostu pod takim kątem wykonano zdjęcie lotnicze. Rozumiemy, że dla podróżnika wyraźny krzyż na zdjęciu jest ważniejszy niż globalne ocieplenie i brak wody w Afryce.

Pan abepe Marek Jędraszewski, metropolita krakowski, zwrócił uwagę na palący problem Kościoła. Jest to współczesne prześladowanie księży. „Spójrzmy dzisiaj na Australię, gdzie kardynał Pell został skazany. Tam są łamane prawa człowieka. Chrześcijaństwo zawsze było prześladowane” – powiedział Jędraszewski na Europejskim Kongresie Samorządów, gdzie brał udział w panelu „Czy religia jest jeszcze człowiekowi potrzebna?”. Jędraszewski lekko przestrzelił: Pell został skazany za pedofilię.

Decyzją krakowskich radnych religia w szkołach tego miasta ma być umieszczana w planie lekcji jako pierwsza lub ostatnia. „Rada Miasta Krakowa kwestionuje kompetencje dyrektorów szkół i nauczycieli oraz stoi w sprzeczności z porządkiem prawnym Rzeczypospolitej Polskiej” – odpowiedziała Krakowska Kuria Metropolitalna. Wzruszające, jak pan abepe Jędraszewski troszczy się o porządek prawny.

Ks. Kazimierz Sowa miał na zaproszenie Klubu Obywatelskiego przyjechać do Tamobrzęga i wziąć udział w rozmowach o wartościach, rodzinie, Unii Europejskiej i demokracji. Pan abepe Jędraszewski – przełożony ks. Sowy – zakazał mu jednak udziału. Pan każe, sługa nie może. Nie dziwimy się panu Jędraszewskiemu. Klub Obywatelski to faktycznie brzmi co najmniej jak Klub Szatana.

Trwa zamieszanie z „Wiosną”. Nie tą Biedronia, ale tą krakowską, co jej prezesem był ks. Jacek Stryczek, który rozdawał szlachetne paczki. Po tym jak Onet opisał ks. Stryczka jako gościa, który posługuje się mobbingiem wobec współpracowników, ustąpił on z funkcji i przysłał do kierownika „Wiosny” swojego kumpla ks. Grzegorza Babiara. Walne zgromadzenie stowarzyszenia uznało jednak, że także Babiarsz się nie nadaje i odwołało go z funkcji, powołując wieloletnią pracownicę „Wiosny” Joannę Sazdik. Nie na długo. Teraz ks. Babiarsz wynajął agencję ochrony i na jej czele wtargnął do siedziby stowarzyszenia i zaczął przejmować dokumenty i wyrzucać pracowników. Drodzy ubodzy, w tym roku możecie nie dostać szlachetnej paczki.



Hierarchowie Kościoła i zwykli księża oburzają się na możliwość działania w szkołach edukatorów z organizacji pozarządowych. Fundacja Małych Stópek wchodzi do szkół bez pytania i rozgłosu. Wysłała do nauczycieli i katechetów tzw. edukacyjne pendrive'y, które mają stanowić pomoc dydaktyczną. Są na tych pendrive'ach filmy tzw. nurtu pro-life. Z tymi wszystkimi cudownymi zdjęciami wyskrobków. Czy rodzice to wiedzą i akceptują?

Pochowany został Jan Kobyłański, działacz polonijny mieszkający w Urugwaju, znany m.in. z dość kontrowersyjnych wypowiedzi, które sąd określił jako antysemickie. W pogrzebie brał udział tatko Tadeusz Rydzys, dyrektor i założyciel Radia Maryja, znany filosemita. Co obu panów łączyło poza miłością do Polski i Kościoła, tego już nikt nie dojdzie.

Ks. Stanisław Małkowski został zapytany o to, co myśli o akcji swojego kamrata po koloratce, tego od palenia książek. To, że ks. Małkowski uważa, że „książki niosące z sobą zło zasługują na odrzucenie, a jedną z form takiego odrzucenia jest ich spalenie”, nie jest godne zauważenia, bo to banal. Ks. Małkowski poszedł dalej. Odnosił się do słów abepe Wojciecha Polaka, prymasa Polski, który spalenie książek nazwał „gorszącym”. Według Małkowskiego prymas „nie jest to człowiek o wybitnym intelekcie i konsekwentnej wytrwałej wierze”. Wow!

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

REBUS 2



Praworządniś

Dalszy ciąg perypetii z prawem byłego burmistrza Śródmieścia.

2 tygodnie temu ukazał się w „NIE” artykuł „Praworządniś” (nr 13/2019). Mowa w nim była o burmistrzu warszawskiego Śródmieścia, burmistrzu, wobec którego prokuratura złożyła do sądu akt oskarżenia. Za działanie na szkodę Legii Warszawa grozi mu do 5 lat pozbawienia wolności.

W publikacji przedstawiłem szokującą informację, że w dzielnicowym wydziale prawnym pracuje naczelnik i 14 radców prawnych na etatach oraz 3 osoby na etatach nieradcowskich. W sumie 18 osób. Na dodatek burmistrz Krzysztof Czubaszek podpisał 7 umów z zewnętrznymi kancelariami i radcami prawnymi na łączną kwotę blisko 200 tys. zł. Mimo tak licznej obsługi prawnej burmistrz nie poradził sobie nie tylko z naliczeniem podatku od stadionu Legii, ale nawet z tak prostą sprawą jak przekazanie dotacji dla biblioteki.

Wkrótce po publikacji burmistrz Czubaszek został odwołany ze stanowiska, zastąpił go warszawski samorządowiec Aleksander Ferens.

Dzień przed odejściem z urzędu Czubaszka rzecznik prasowy dzielnicy wystosował do redakcji wniosek o zamieszczenie sprostowania.

Niestety i tym razem nie udało się burmistrzowi zmieścić w ramach obowiązujących przepisów. Przepraszam, ale będzie trochę prawniczej nowomowy. Wniosek o umieszczenie sprostowania nie spełnia bowiem wymogów formalnych określonych w art. 31a prawa prasowego. Zgodnie z tym przepisem obowiązek publikacji sprostowania ciąży na redaktorze naczelnym, pod warunkiem że wniosek o jego zamieszczenie jest złożony przez osobę zainteresowaną, a samo sprostowanie zawiera jej podpis i adres korespondencyjny.

Pismo zostało podpisane przez pana Jakuba Leduchowskiego – rzecznika prasowego dzielnicy Śródmieście miasta stołecznego Warszawy i wskazuje, że publikacja może naruszać... dobre imię dzielnicy Śródmieście.

Zgodnie z § 51 statutu dzielnicy oświadczenia woli w zakresie zadań i kompetencji przekazanych dzielnicom Warszawy do wykonywania, składa w imieniu Warszawy łącznie dwóch członków Zarządu Dzielnicy – na podstawie pełnomocnictw prezydenta.

Z tego przepisu wynika, że Jakub Leduchowski nie mógł zostać upoważniony przez burmistrza, działającego samodzielnie, do złożenia oświadczenia w postaci sprostowania, w imieniu miasta stołecznego Warszawy – dzielnicy Śródmieście. Dzielnica Śródmieście nie posiada bowiem odrębnej osobowości prawnej, jest ustawowo powołaną jednostką pomocniczą miasta. Jeśli zaś oświadczenie to miało być złożone w imieniu Krzysztofa Czubaszki, to wymaganym przez przepisy prawa prasowego jego elementem jest podpisanie treści sprostowania przez osobę, od której ono pochodzi. Takiego elementu brakuje zarówno we wniosku, jak i w sprostowaniu.

Z tych powodów na podstawie przepisu art. 33 ust. 1 pkt 3 oraz art. 33 ust. 2 pkt 2 prawa prasowego oświadczenie to nie spełnia wymogów formalnych i merytorycznych dla wniosku o zamieszczenie sprostowania.

Czepiam się? Zatrudniona w urzędzie armia prawników i zewnętrzne kancelarie na usługach burmistrza pozwalają chyba na stosowanie się do wymogów prawa. Z przytoczonych względów redakcja i nasi prawnicy uznali, że sprostowanie nie spełnia wymogów i nie musimy go drukować. Wobec tego nie stosuję się do tego listu prawny wymóg publikowania odpowiedzi nie od razu, lecz w następnym wydaniu „NIE”.

Żeby jednak nie było, że unikamy merytorycznego odniesienia się do treści pisma, oto sugerowane sprostowanie i moja odpowiedź.

Sprostowanie:

„Artykuł dotyczący pełnienia przez Krzysztofa Czubaszka funkcji burmistrza Dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy zawiera nieścisłe i nieprawdziwe informacje. Nieprawdą jest, że 31 grudnia 2018 r. zapadł wyrok w sprawie prowadzonej przez Regionalną Komisję Orzekającą (działającą przy Regionalnej Izbie Obrachunkowej w Warszawie), dotyczącej rzekomego naruszenia dyscypliny finansów publicznych przez burmistrza Krzysztofa Czubaszka. Sprawa zainicjowana wnioskiem Rzecznika Dyscypliny Finansów Publicznych jest w trakcie rozpatrywania przez organ pierwszej instancji. Nie zapadło żadne orzeczenie uznające Krzysztofa Czubaszka za winnego naruszenia dyscypliny finansów publicznych.

Należy ponadto zauważyć, że przedmiotowe środki finansowe zostały przekazane właściwemu podmiotowi (tj. Bibliotece Publicznej w Dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy) w odpowiedniej wysokości, a także zostały wykorzystane zgodnie z przeznaczeniem. Sprawa tocząca się przed RKO dotyczy jedynie kwestii braku umowy pomiędzy m.st. Warszawą a ww. biblioteką, będącą jednostką zależną od m.st. Warszawy.

Nieprawdą jest też informacja, zgodnie z którą cyt. »Burmistrz przekazał na rzecz Biblioteki Publicznej w dzielnicy Śródmieście dotację, ale zapomniał zawrzeć z tą instytucją stosowną umowę». Sposób przekazania środków bibliotece był wskazany i praktykowany przez śródmiejski Wydział



Ilustr. WŁODEK KIERUS

Budżetowo-Księgowy jeszcze przed objęciem przez Krzysztofa Czubaszka funkcji burmistrza. Z uwagi na stosowanie takiej praktyki Rzecznik Dyscypliny Finansów Publicznych objął ww. wnioskiem również inną osobę, której przypisywana jest odpowiedzialność za wcześniejszy okres.

Wyjaśniając nieprawdziwe informacje opublikowane w artykule pt. »Praworządniś«, należy dodatkowo podkreślić, że w okresie pełnienia przez Krzysztofa Czubaszka funkcji burmistrza Śródmieścia nie stwierdzono występowania jakiegokolwiek przypadku mobbingu w Urzędzie Dzielnicy Śródmieście m.st. Warszawy”.

W jednym punkcie muszę przyznać panu rzecznikowi rację. Moje sformułowanie: „31 grudnia 2018 r. zapadł wyrok. Nie w sprawie Legii, tylko w sprawie biblioteki. Rzecznik Dyscypliny Finansów Publicznych postanowił złożyć wniosek o ukaranie...” jest faktycznie niejasne, a słowo „wyrok” może wprowadzać w błąd. Zdanie to nie miało odnosić się do wyroku RKO, co może błędnie wynikać z treści artykułu. Chodziło o fakt skierowania zawiadomienia do Rzecznika Dyscypliny Finansów na wniosek przełożonej Krzysztofa Czubaszki – pani prezydent Hanny Gronkiewicz-Waltz. To oznacza utratę zaufania i *de facto* wyrok oznaczający koniec rządów burmistrza Czubaszki w Śródmieściu. Został zresztą wykonany, 2 kwietnia burmistrz odszedł ze stanowiska.

Pozostałe zarzuty zawarte w sprostowaniu nie tylko są bezzasadne, ale jeszcze bardziej pograżają burmistrza Czubaszka. Rzecznik prasowy Śródmieścia Jakub Leduchowski potwierdza, że w Urzędzie Dzielnicy Śródmieście był praktykowany przez Wydział Budżetowo-Księgowy sposób przekazywania środków bez umowy. Oznacza to, że zarzuty dotyczące niepodpisania umowy z biblioteką zostały oficjalnie potwierdzone. Dodać należy, że przełożonym naczelnika Wydziału Budżetowo-Księgowego w Urzędzie Dzielnicy Śródmieście (a więc tym samym całego wydziału) był burmistrz Czubaszek. Burmistrzowi podlegał Wydział Kultury, który powinien był wnioskować o przekazanie dotacji, zaś burmistrz Czubaszek koordynował prace Biblioteki Publicznej. Oznacza to, że wszystkie zainteresowane komórki i jednostki podlegały bezpośrednio władzy pana Czubaszki.

Praktyka polegająca na niezawieraniu umów o przyznaniu takich dotacji dla instytucji kultury jest wprost sprzeczna z:

– art. 250 ustawy o finansach publicznych, który stanowi, że „zarząd jednostki samorządu terytorialnego, udzielając dotacji celowej, w tym jednostce sektora finansów publicznych, w przypadku gdy odrębne przepisy lub umowa międzynarodowa nie określają trybu i zasad udzielania lub rozliczania tej dotacji, zawiera umowę...”,

– zarządzeniem nr 882/2017 Prezydenta m.st. Warszawy z 8 maja 2017 r. (załącznik § 21 ust. 10) w sprawie wprowadzenia instrukcji obiegu i kontroli dokumentów księgowych i finansowych w urzędach dzielnic m.st. Warszawy, który stanowi, że dokumentacja przekazania oraz rozliczania udzielonych dotacji ma zawierać umowę, którą przygotowują właściwe wydziały.

Również zarzut, że w okresie pełnienia przez Krzysztofa Czubaszka funkcji burmistrza nie stwierdzono występowania jakiegokolwiek przypadku mobbingu w Urzędzie Dzielnicy Śródmieście jest nieprawdziwy. W kwietniu 2018 r., na podstawie zarządzenia nr 491/2016 z 11 kwietnia 2016 r. w sprawie wprowadzenia wewnętrznej procedury przeciwdziałania mobbingowi i molestowaniu seksualnemu w Urzędzie Miasta Stołecznego Warszawy, złożono zgłoszenie zachowań niepożądanych o cechach mobbingu odnoszące się do sytuacji mających miejsce w Dzielnicy Śródmieście. Zgłoszenie zostało zakwalifikowane jako molestowanie seksualne i w tym trybie było rozpatrywane. Powiązane z tym zgłoszenie od innego pracownika Urzędu Dzielnicy zostało zgłoszone sekretarzowi miasta także w kwietniu 2018 r. i również dotyczyło mobbingu w Urzędzie Dzielnicy Śródmieście.

Pracownikom dokonującym tych zgłoszeń burmistrz Czubaszek wypowiedział umowy o pracę.

ANDRZEJ ROZENEK

andrzej.rozenek@redakcja.nie.com.pl

Pedofilia nas wszystkich

W numerze 13 „NIE” pisze pan w swoim blogu, że zaczynają pana nudzić te historyjki o pedofilii kościelnej wygłaszane ustami dorosłych mężczyzn. Zgadzam się z panem po części, że temat w takim płacziwym ujęciu sam siebie może po pewnym czasie zamordować. Tak jak każdy medal i moneta mają dwie strony, również ma ją kościelna sprawa pedofilii. Nikt jak dotąd w dyskusji nad problemem pedofilii nie zwrócił uwagi na skutki, jakie niesie ona ze sobą dla wszystkich bez wyjątku osób wierzących w naszym kraju i na świecie. Otóż ksiądz, aby mógł odprawiać nabożeństwo, lub udzielać sakramentów nie może być obciążony grzechem ciężkim (śmiertelnym). Jak wiemy pedofilia i homoseksualizm są Bogu niemiłe, wręcz obrzydliwe. Ilu księży po aktach homoseksualnych lub pedofilskich odprawiało msze lub udzielało komunii tylko sam Pan Bóg raczy wiedzieć. Co by nie powiedzieć, wszystkie te czynności obciążone grzechem były nieważne. Tak więc wszelkie śluby, chrzty, komunie, bierzmowania i inne sakramenty udzielane przez księży kochających inaczej nie posiadają najmniejszej



ważności i powinny być powtórzone. Ponieważ dzieje się tak od wielu, wielu lat, przyjąć należy, że kościelne odium tego strasznego grzechu tak troskliwie ukrywanego przez Kościół rozlało się przez te lata nie tylko na wszelkie instytucje i struktury kościelne, ale i na wszystkich którzy z posługi Kościoła korzystali, nie zdając sobie sprawy z tego, że próżno oczekiwać będą zbawienia wiecznego. Chciałbym, aby w tej sprawie wypowiedzieli się biskupi – ojcowie zła, za których to przyzwoleniem niegodni księży cieszą się do dzisiejszego dnia pełną bezkarnością. Chciałbym, aby w tej sprawie wypowiedzieli się również wszyscy ludzie tak haniebnie oszukani przez Kościół.

Czytelnik

Pan Kowalski i Maryja

Ortodoksyjni katolicy usilnie forsują przywiązanie do tradycyjnych wartości katolickich.

Brzmi to groźnie! Cofnijmy się ponad 2 tys. lat temu, gdy pewien pan – znany powszechnie, jako Pan Bóg – upatrzył sobie małoletnią żonę Pana Józefa i miał z nią pozamałżeńskie dziecko. Nie dość, że spowodował ciężę u małoletki, co podchodzi jak najbardziej pod czyn pedofilski, to jeszcze naraził swoją wybrankę na ukamienowanie za cudzołóstwo, bo takie było wtenczas prawo żydowskie, a i dekalog Pana

Boga w szóstym przykazaniu zakazuje: „Nie cudzołóż”. Mało tego, Pan Bóg sprzeniewierzył się samemu sobie, gdyż złamał własne przykazanie dziewiąte „Nie pożądaj żony bliźniego swego”. Zatem przywiązanie do tradycyjnych wartości katolickich powoduje wstyd, zgorszenie i karę za grzechy w postaci piekła, do którego będzie kierował osobiście Pan Bóg, a w którym to piekle w końcu i sam się znajdzie z powodów jak wyżej, gdyż Prawo i Sprawiedliwość musi być dla każdego równe bez żadnego wyjątku, niezależnie, czy jest to przysłowiowy Pan Kowalski, czy nawet Pan Bóg.

J.B.

Koza

Był taki kawał o Żydzie skarżącym się na smród, bród i ubóstwo, któremu rabin kazał jeszcze kupić kozę.

Obserwując arenę polskiego cyrku politycznego i występujących na niej klaunów przychodzi mi do głowy pewna myśl, pomysł pozornie niedorzeczny...

A gdybyśmy tak w jesiennych wyborach parlamentarnych zagłosowali nie na żadną biedroniową Wiosnę, nie na żadną Koalicję Obywatelską ale... na Prawo i Sprawiedliwość? Zaznaczam, tylko w wyborach jesiennych do naszego parlamentu! Bo w wyborach do PE musimy zagłosować odpowiedzialnie, czyli inaczej, odwrotnie.

Niedorzeczność, zawoła wielu. Lecz pomyślcie: głosowanie na obecną opozycję będzie dla niej niedźwiedzią przysługą. Aby posprzątać bałagan jakiego narobiło PiS, nowy rząd

będzie musiał podjąć wiele bardzo niepopularnych i bolesnych dla obywateli decyzji, i jeszcze bardziej docisnąć pasa. A PiS będzie sobie stało z boku i punktowało: my dawaliśmy a ci odbierają. Bardzo prawdopodobne, że nowa władza nie dotrwa do końca kadencji i najpóźniej za dwa lata będą nowe wybory, które w cuglach znowu wygra PiS. I tak już zostanie do końca świata: raz PiS, raz anty-PiS, na zmianę.

Radzę jak ten mądry, stary rabin: dajmy im szansę skompromitować się do końca i bez reszty. Niech dalej „ogarniają temat”, a gwarantuję Wam, że za dwa lata (bo dłużej nie pociągną) już nawet ich „żelazny elektorat” będzie rzucił się do ich gardel i sam kozę przepędzi. A wtedy odetchniemy z ulgą, jak ów biedny Żyd: teraz to my mamy jak w raju.

Polacy! Apeluję: my kupmy sobie kozę!
Robert Chudzyński

Cmentarz mój widzę komunalny

Kościół w Polsce pustoszeją. Jest to tendencja bardzo pozytywna, prodemokratyczna, postępową i republikańską, gdyż coraz mniej ludzi narażonych jest na toksyczną, często faszyzującą (vide chociażby palenie książek czy narodowcy na Jasnej Górze), antydemokratyczną ideologię katolicką. W związku z tym m.in. coraz więcej osób chce mieć świecki pogrzeb, ze świeckim mistrzem ceremonii pogrzebowej i to na cmentarzu komunalnym (państwowym), a nie na cmentarzu katolickim. Problemem jest jednak nowoczesna jak na swoje czasy, Ustawa z 31 stycznia 1959 „O cmentarzach i chowaniu

zmarłych”. Ustawa ta nie przewiduje tego, że w każdej gminie – w tym i w każdej gminie wiejskiej – musi powstać cmentarz komunalny. Niestety istnieje ustawowa dobrovolność powstawania cmentarzy komunalnych w poszczególnych gminach miejskich i wiejskich. Nadszedł czas abyśmy domagali się obowiązkowego powstania w każdej gminie i to w ciągu określonego czasu cmentarza komunalnego. Księża przestaną wtedy bezprawnie straszyć ludzi, że ich nie pochowają na cmentarzu katolickim gdyż: „ja jego nie widziałem na mszach”, „ona nie wpuszczała księdza chodzącego po kołędzie”, itd.

Andrzej

R E K L A M A

Przegląd

Rozmowa Romana Kurkiewicza AntyWindyk, czyli wychodzenie z długów

Praktyczne mity na temat ogarniania tematu

Polacy przenoszą się do Czech

9 LAT KŁAMSTW SMOLEŃSKICH

I WYSTARCZY

Rozmowa z Aleksandrem Kwaśniewskim

www.tygodnikprzeglad.pl

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W KIOSKACH!

Rozmowa Romana Kurkiewicza AntyWindyk, czyli wychodzenie z długów

Nauczyciele – tania siła robocza

Prawicowe mity na temat dąbrowszczaków

Polacy przenoszą się do Czech

Z CZARNEJ DUPY się wyrwało

■ **Wartość książek** zależy głównie od ich treści. Są wśród nich i takie, które warto są nawet czci, bo dzięki nim rośnie **chwała Boża** i rozwija się nasze człowieczeństwo. Są takie, które warto zachować dla ludzkiej wiedzy, nawet gdy całkowicie nie zgadzamy się z ich przesłaniem. Są jednak i takie, które nie są warte niczego więcej jak **zniszczenia** – gdy zamiast budować jedynę upodlają i niszczą człowieczeństwo i **narażają ludzi na utratę zbawienia**. Wcale mnie zatem nie dziwi, że gorliwy ksiądz katolicki – dbający o zbawienie dusz bardziej, niż o opinię tego świata – wpadł na **pomysł zniszczenia publikacji zagrażających zbawieniu**. Dziwią mnie natomiast katolicy napadający publicznie na kapłana broniącego ludzi przed zgorzseniami – i to nawet jeśli jego metod nie uważają za właściwe.

Jan Łopuszański, PCh24.pl, 8 kwietnia

■ Wokół Polski dzieją się rzeczy ważne, to u nas historia powtarza się jako farsa. Oto **sodomici i gomorycy**, protestując przeciwko **spaleniu jakichś książek**, mają się „skrzyknąć” w Gdańsku, gdzie będą **wymieniać się książkami „o tematyce LGBT”**, czyli – jak można się domyślić – **miękką i twardą pornografią**. Protest nawiązuje do palenia książek przez złych „nazistów” – ale wtedy palono książki teoretyki i dwóch praktyków ludobójstwa: Karola Marksa, Włodzimierza Lenina i Lwa Trockiego. Tak w każdym razie wynikało z ekspozycji w waszyngtońskim Muzeum Holokaustu. Tymczasem teraz otaczane kultem będą książki napisane przez „Szekspirów majtek damskich i męskich”.

Stanisław Michalkiewicz,
Radio Maryja, 4 kwietnia

■ **Genderyzm** jest powiązany z **marksizmem**. Te same osoby, które głoszą marksizm, głoszą teraz genderyzm. Jest on pełną mutacją marksizmu i podobnie jest z gruntu fałszywą teorią wyznawaną przede wszystkim przez **ateistów**, czyli ludzi, którzy już są w błędzie, odrzucając Boga. Tak fundamentalny błąd musi powodować następne błędy. Genderyzm jest kolejną ideologią ateistów, w której na miejscu Boga stawia się seks. **LGBT**, w którym na końcu zazwyczaj jest plus, ma jednoczyć wszystkie osobliwości seksualne, m.in. **kazirodztwo, prostytucję czy pornografię**. Według nich każde zachowanie seksualne jest akceptowalne. Jeżeli da się im palec, to wezmą całą rękę.

ks. prof. Dariusz Oko,
Radio Maryja, 7 kwietnia

■ Marksizm-leninizm uważał, że prawdą i dobrem jest to, co służy budowaniu komunistycznego społeczeństwa pod przewodnictwem partii. Dzisiaj **neomarksści**, nazywający się niekiedy dla niepoznaki **liberałami**, mają analogiczne poglądy. O ile jednak ci pierwsi stosowali brutalną przemoc, o tyle ci drudzy od przemocy fizycznej się odzegnują. Mają inne, bardziej skuteczne metody. Powolny marsz poprzez instytucje: **media, organizacje pozarządowe, korporacje, uczelnie, wspólnoty kościelne, władzę sądowniczą...** Marks wskazywał, że trzeba zmieniać bazę, czyli stosunki ekonomiczne, a za tym pójdzie zmiana nadbudowy, czyli m.in. myślenia ludzi. Nowa lewica zaczyna od nadbudowy, czyli od **prania mózgu**, w czym bardzo pomocna jest **ideologia homoseksualna**.

ks. Dariusz Kowalczyk,
„Idziemy”, 5 kwietnia

■ Kiedy przystępowaliśmy do **wyborów samorządowych**, mieliśmy patrzeć nie tylko na to, czy ktoś dobrze buduje drogi, ale też ducha ludzkiego. Czy nie wprowadza destrukcji. Inni mówili: „Nie, to nie dotyczy samorządów”. Nagle mamy **w Warszawie deklarację LGBT** i wszyscy **jesteśmy w szoku**, a wiele **samorządowych teatrów wystawia sztuki**, które **bulwersują całą opinię katolicką**.

prof. Mieczysław Ryba,
Radio Maryja, 8 kwietnia

Wybrał **WALDEMAR KUCHANNY**
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Premier Morawiecki promuje zagraniczny kurort pielgrzymkowy, w którym czynni są szatani.

Rozpoczyna się sezon pielgrzymkowy. Liczne sanktuaria kuszą bogatą ofertą duchową i hotelarską, kustosze prześcigają się w zachwalaniu Madonn. Tylko w Polsce sanktuariów maryjnych jest ponad 200. Jako że maj to miesiąc maryjny, polscy dewoci łączą się w modlitewnych westchnieniach do Najświętszej Panienki, która – choć jest wszędzie – gdziekolwiek jest szczególnie. Mimo tak bogatej oferty tubylczych Matek Boskich Mateusz Morawiecki reklamuje hercegowińskie szemrane objawienia, których Kościół chyba tylko dlatego nie neguje, że na nich zarabia.

Halina, Zofia, Mateusz

„Na jednym ze spotkań pani Halina powiedziała mi, że nie stać ją było na zaoszczędzenie pieniędzy na pielgrzymkę do Medjugorie. Teraz będzie to możliwe” – mówił w Sejmie Morawiecki junior, pragnąc udowodnić, że szczęśliwą można być również po siedemdziesiątce. „Pani Zofia powiedziała mi o prezencie na Dzień Dziecka dla wnuków. Nie śmiecie się z tego. Ten prezent dla wnuka jest wielką radością dla emerytów” – tłumaczył dalej, kreśląc pisowską wizję polskiego emeryta: żyjącego na skraju ubóstwa mohera zajmującego się klepaniem pacierzy i bawieniem wnuków. Finansowy ochłap niechybnie wyda na dewocjonalia i gówniarzy, którzy mają już przecież swoje 5 stów od rodziców. Starość nie udało się Panu Bogu, a w Polsce nie udało się szczególnie.

Buszując wśród pisowskiego elektoratu, Morawiecki usłyszał więc to, co chciał usłyszeć, albo to, co napisali mu ludzie od przemowień. Jest bowiem możliwe, że skuszona wizją taniego pielgrzymowania pani Halina będzie miała powikłania duchowe.

Historia i aktualność rzekomych objawień w Medjugorie jak w soczewce skupia wszystko, co w Kościele śmieszne, straszne, głupie i cyniczne. Stąd też silny wątek polski.

Nie rozwodząc się nad zawiłościami tej historii: 6 osób z Hercegowiny twierdzi, że od czerwca 1981 r. objawia im się Gospa (ichnia nazwa Matki Boskiej). Trójka z nich ma do dziś widzenia codzienne, reszta rzadziej. Podczas tych randek Maryja przekazuje im orędzie, które składają się głównie z wezwań do nawrócenia i modlitwy. „Widzący” kontaktują się z Gospą także na gościnnych występach – a są zapraszani do wielu krajów. Niestety show nie przewiduje wizualizacji Matki Boskiej dla publiczności; widzą ją jedynie wybrańcy, plebs obserwuje wizjonerów. Watykan do dziś nie potwierdził prawdziwości objawień, ale też ich jednoznacznie nie potępił. 2,5 miliona pielgrzymów rocznie to nie w pastorał dmuchał.

Rydzik na saksach

Jak wszystko, na czym da się w sakrobiznesie zarobić, objawienia z Medjugorie splatają się z życiorysem Tadeusza Rydzika. Toruński magnat medialny był jednym z pierwszych w Polsce popularyzatorów jugosłowiańskiej Matki Najświętszej. Zanim katolicki głos zawitał do naszych domów, ojciec Tadeusz pracował na saksach. Szwendął się

Gdzie Matka Boska mówi dobranoc

trochę u Niemca, do Polski nie bardzo chciał wrócić – był wówczas patriotą korespondencyjnym. Pielgrzymki do Hercegowiny to jeden z pierwszych biznesów raczkującego w świecie wielkich pieniędzy mnicha. Czasy te wspomina ks. Jerzy Galiński, były redemptorysta: „**Rozkreślił także inny biznes, z wyjazdami do Medjugorie. Opowiedział taki epizod: któregoś dnia przyjechał do mnie do Monachium nasz współbrat ojciec Stanisław Kwiatkowski. Do Niemiec ściągnął go Rydzik, bo Kwiatkowski świetnie mówił po niemiecku. Zatrudnił go przy wyjazdach do Medjugorie z niemieckimi pielgrzymami. Kwiatkowski siadł u mnie i mówi: »Nawet nie wiesz, jak to wszystko świetnie gra. Jeżdżę sobie, robotą jest przy tym żadna, a takie dewocyjne babacie najlepiej się goli z forsy. Z jednego przyjazdu przywozimy więcej niż wszyscy nasi misjonarze przez cały rok«**”.

Później Rydzik wspominał, że to bałkańska Maryja podszeptnęła mu do ucha pomysł założenia rozgłośni radiowej: „Byłem parę razy w Medjugorie (...), to była droga z Matką Najświętszą. I wtedy przyszło TO. Pojawiła się idea – a może radio? Nie dowierzałem – jak to radio? Nie ma na to miejsca, nie ma pieniędzy, nie ma pozwoleń. Nic nie ma, ale pojawiła się idea. Miałem różne wątpliwości, myślałem: »Żeby tylko przełożeni się zgodzili, dali błogosławieństwo, a później będziemy szukać sposobów realizacji zamierzeń«. I jakoś się poukładało. (...) Zawierzenie Panu Bogu to »chodzenie po wodzie« przez cały czas. Idę na ślepo, a Ty, Panie Boże, prowadź i daj wszystko, co potrzeba, bo przecież Ty jesteś Panem wszystkim...” (cytaty za książką „Imperator” Piotra Głuchowskiego i Jacka Hołuba).

Biznes na Matce Boskiej Rydzikowi się udało. Udało mu się również zaszczyć w Polsce zainteresowanie objawieniami bałkańskich wizjonerów. Wszelkie nadprzyrodzone siły mają tu branie, a zakonnicy nosa. Dziś to Polacy stanowią jedną z największych grup wśród pielgrzymów. A przybywa ich do Medjugorie z całego świata około 2,5 mln rocznie. Każdy spragniony cudów i łask, które są za darmo od Maryi, ale za pieniądze od księdza. Pośrednictwo musi kosztować, zwłaszcza że duchowni mają jak najbardziej ziemskie i ludzkie potrzeby.

Maryja i inne kobiety

Te ziemskie i ludzkie aspekty są od lat przyczyną krytyki objawień. Miejscowi biskupi zarzucają opiekującym się sanktuarium franciszkanom koniunkturalne wykorzystywanie „widzących”. W 2017 r. bepe Ratko Perić, do którego diecezji należy Medjugorie, ogłosił obszerny tekst, w którym wypunktował wszystkie wątpliwości i niejasności narosłe wokół sprawy. Podsumował: „**Można spokojnie stwierdzić, że Matka Boża w Medjugorie nie objawiała się**”. Powoływał się przy tym na swojego poprzednika, bp. Pavao Žanića, który – mimo początkowej przychylności – przez wiele lat wojował z franciszkanami. Bo historia Medjugorie to także spór biskupów z franciszkanami. Widzenia zupełnym przypadkiem zaczęły się w momencie, gdy biskup chciał się pozbyć mnichów i zastąpić ich księżmi diecezjalnymi. Dzięki objawieniom ślubujący ubo-

stwo franciszkanie dorobili się i stali się nietykalni. Niektórym sodówka uderzyła do głowy. Przed kilku laty Benedykt XVI wydalili ze stanu duchownego Tomislava Vlasica, jednego z opiekunów wizjonerów. Powodem był romans z zakonnicą i posiadanie z nią dziecka oraz kwestie „szerzenia wątpliwej doktryny, manipulacji sumieniami, podejrzanego mistycyzmu i nieposłuszeństwa w stosunku do prawomocnie wydanych nakazów”. W latach 80. życie z byłą zakonnicą wybrał inny franciszkanin z tego obozu, Ivica Vego.

Co na to Watykan? Medjugorie badało już kilka rzymskich komisji, ale na razie nie ma żadnej konkluzji. Watykanista John Thavis w książce „Tajemnice watykańskich proroctw” pisze: „**W debacie nad Medjugorie wielu ekspertów watykańskich dawno podzieliło się na dwa obozy: tych, którzy wierzą, że Maryja naprawdę się objawia, i tych, którzy uważają, że wizjonerzy, świadomie lub nie, rozpowszechniają duchowe oszustwo. Istnieje trzecia możliwość, którą czasem rozważa się przyciszonym głosem w Watykanie, hipoteza, która zdaniem klasycznych autorów piszących o doświadczeniach mistycznych musi być zawsze brana pod uwagę: że to, co z wierzchu wygląda na świętość Maryi, jest w rzeczywistości dziełem szatana**”. O tym, że objawienia mają piekielną proveniencję, przekonani są katolicy tradycyjniści. Ale te 2,5 miliona pielgrzymów...

Specjalna troska Hosera

Kolejnym fachowcem do zbadania natury bałkańskich widzeń został abepe Henryk Hoser, znany z rodzimego poletka. W 2017 r. przeszedł na emeryturę jako ordynariusz warszawsko-praski, ale jego niespożyta energia, doświadczenie, stanowczość oraz umiejętność pracowania w trudnych warunkach skłoniła Franciszka do powierzenia mu nowej misji. Został specjalnym wizytatorem apostolskim przy parafii w Medjugorje, co oznacza, że z papieskiego nadania rządzi tamtejszą parafią. Nie musi swoich decyzji konsultować z miejscowym biskupem, władza niepodzielnie. Jego zadaniem jest doprowadzenie do ostatecznego rozstrzygnięcia kwestii Medjugorie. Nic więc dziwnego, że premier polskiemu proboszczowi na wygnaniu nagania klientelę.

Hoser jest jedynym polskim emerytem, który może sobie pozwolić na tak długi pobyt w Medjugorie bez trzynastej emerytury.

Jego wcześniejsze fundują przybywający m.in. z Polski emeryci. Ekonomiczny patriotyzm Morawieckiego przybiera czasem pokretne formy.

Arcybiskupowi z Polski w Medjugorie się podoba. Twierdzi, że działalność sanktuarium przynosi dobre owoce, czytaj: hajs się zgadza. Podsumowując swój pierwszy pobyt tam, Hoser stwierdził, że „**ze względu na masowy napływ pielgrzymów miejsce to penetrowane jest przez mafie, które liczą na zyski**”. Z tym się akurat zgadzamy! Jedną z tych mafii jesteśmy nawet w stanie nazwać.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com





ILUSTR. WŁODEK KIERUS

Kolarze wychodzą z szafy

Po koszulkach ich poznanie...

Kolarski sezon w Europie rozpoczął się od wyścigów w Hiszpanii, we Włoszech, w Holandii i w Belgii. Odbyło się już kilka imprez wysokiej rangi, takich choćby jak Mediolan–San Remo, Tirreno–Adriático, Dookoła Flandrii. Zanim wyruszą 3 największe – Giro d’Italia, Tour de France i Vuelta a España – kibice na nowo muszą się uczyć rozpoznawania koszulek zawodników w peletonie.

Niektóre grupy przestały istnieć, inne

zmieniły sponsorów

i kolory trykotów. Nie wiadomo, jak będzie się nazywać jeden z najmocniejszych zespołów, czyli **Astana**, finansowany przez rząd Kazachstanu. Miasto Astana to dotychczasowa stolica kraju. Teraz jednak, gdy po blisko trzydziestu latach urzędowania opuścił stanowisko prezydenta Kazachstanu Nursułtan Nazarbajew, postanowiono zmienić nazwę miasta na Nursułtan. Czy startujący w charakterystycznych niebieskich koszulkach i odnoszący wiele sukcesów zawodnicy przestaną reprezentować utrwaloną w pamięci kibiców nazwę Astana i zmienią ją na Nursułtan? Na razie nic się nie zmieniło. Ale na jak długo?

Jednego z

największych transferów

z początkiem sezonu dokonał polski miliarder, właściciel sieci sklepów z obuwiem CCC Dariusz Miłek, nawiasem mówiąc, w młodości niezły kolarz. Wykorzystał okazję, że znana i należąca do światowej elity grupa BMC (producent rowerów) popadła w finansowe kłopoty i rozpaczliwie zaczęła poszukiwać tytularnego sponsora. Polski miliarder niczym sprinter na finiszu wyprzedził wszystkich i wszedł w posiadanie grupy, która teraz nazywa się **CCC Team**, a jej liderem został jeden z najwybitniejszych kolarzy świata, mistrz olimpijski Belg Greg Van Avermaet. Owszem, Miłek był już właścicielem kolarskiej drużyny, CCC Sprandi Polkowice, należała jednak do II dywizji, na największe imprezy mogła zatem przyjeżdżać tylko wówczas, gdy dostała od

organizatorów tzw. dziką kartę, czyli specjalne zaproszenie. Teraz każdy organizator imprezy ma obowiązek zaprosić CCC Team. Zanim złączono nieco regulamin, CCC Team miały obowiązek startowania w tych największych wyścigach, teraz może trochę grymasić.

Kibice kolarstwa w Polsce, a jest ich coraz więcej, są oczywiście w siódmym niebie, ale ekonomiści na zimno przeliczają nakłady i ewentualne zyski. Wynik wcale nie jest oczywisty. Oczywiście sieć sklepów CCC działa niemal w całej Europie, a teraz zaczyna wychodzić nawet poza nasz kontynent, ale czy reklamowe zyski z transmisji telewizyjnych pokryją nakłady na superstajnię profesjonalnych szosowców? Zostawmy te rozważania specjalistom od biznesplanów i wróćmy do sportu.

Kolarstwo jest kosztowne. Można przypomnieć, że swego czasu rosyjski oligarcha Oleg Tińkow (o ile mnie pamięć nie myli, też z jakimś skromnym kolarskim epizodem w życiorysie) zbudował potężną grupę ze Słowakiem Peterem Saganem i naszym Rafałem Majką na czele, ale dość prędko zdał sobie sprawę, że jest to zbyt droga zabawka; na jego plus trzeba zapisać, że zanim zamknął interes, uczciwie i honorowo rozliczył się z kolarzami, z którymi miał podpisane kontakty.

Grupa kolarska **Sky**

była wyjątkowa

w profesjonalnym peletonie. Szef ekipy sir Dave Brailsford, w odróżnieniu od kolegów z innych zespołów, nigdy nie musiał zwracać sobie głowy brakiem funduszy. Właściciel – koncern medialny Ruperta Murdocha – dawał po prostu swoim kolarzom tyle pieniędzy, ile chcieli i nie targował się o drobne kwoty.

Istniejąca od 2010 r. grupa odniosła 322 zwycięstwa, w tym 8 razy w wielkich tourach. Szczególnie ważne dla kolarzy Sky było wygrywanie Tour de France. Od 2012 r. tylko raz nie triumfowali w tej imprezie, a złoty trykot na mecie w Paryżu zakładali Chris Froome (4 razy), Bradley Wiggins i Geraint Thomas. Ekipa, której roczny budżet oceniano na 40–60 mln euro, zatrudniała najwybitniejszych zawodników, znalazła w niej miejsce także Michał Kwiatkowski po zdobyciu mistrzostwa świata w barwach profesjonalnej stajni Etixx-Quick Step (obecnie, po zmianach właścicielskich, **Deceuninck-Quick Step**).

Decyzję o rozwiązaniu grupy Sky ogłoszono niespodziewanie, podczas gdy kolarze przygotowywali się do nowego sezonu. Zaskoczony był także Dave Brailsford, który szlachecki tytuł otrzymał właśnie za zasługi dla brytyjskiego kolarstwa. Z urzędowym optymizmem zapewnia jednak, że decyzja właściciela niczego nie zmieni w zespole i z innym sponsorem nadal będzie on dominował w peletonie.

Dlaczego telewizja Sky postanowiła pozbyć się swojej sportowej wizytówki? To naprawdę wielki biznes, jest im wielki, żeby mogli rozumieć go zwykli zjadacze chleba. Telewizję Sky przejął amerykański Comcast, do którego należy m.in. sieć telewizyjna NBC. Właściciela zmienił także inny sponsor zespołu, czyli 21st Century Fox, którego z kolei przejął koncern Disneya. Nowi właściciele najwidoczniej nie należą do kibiców kolarstwa, a w każdym razie nie uważają, że potrzebna jest im reklama na koszulkach kolarzy, nawet najlepszych na świecie.

Kolarze Sky reklamowy napis na koszulkach mają zmienić przed Tour de France. Na jaki? Czasem zmiana reklamy może mieć nieco

przewrotny charakter

i tak właśnie będzie tym razem.

Zazwyczaj na kolarskich strojach aż roi się od kolorowych nalepek. Ani centymetra nie pozostawia się wolnego, drobni sponsorzy dokładają się w ten sposób do budżetu grup. Sky to nie dotyczyło. Finansowani przez konsorcjum Murdoch’a zawodnicy wozili na koszulkach tylko jedną reklamę – Telewizji Sky. Pozostawało sporo wolnego miejsca.

W minionym Tour de France postanowili wykorzystać je na cel społeczny – na plecach koszulek widniała sylwetka orki, symbol fundacji walczącej z zanieczyszczeniem plastikiem oceanów. W tym roku reklamować będą... jednego z największych na świecie producentów plastiku – koncern Ineos.

Na zakup kolarskiej grupy zdecydował się bowiem jego właściciel sir Jim Ratcliffe – najbogatszy Brytyjczyk według listy „Sunday Times”. Jego majątek szacuje się na 21 mld funtów.

Tu drobna dygresja, a raczej wspomnienie o innym psikusie, jaki zrobił reklamowy napis. Swego czasu nieżyjący już polski piłkarz ręczny uznawany był za jednego z najlepszych w Europie, a więc też na świecie. Znany był z niezwykle silnego strzału lewą ręką, a oprócz tego z zamięłowania do płci pięknej oraz mocnych trunków. Ci, którzy znali go dobrze, twierdzili, że w jego duszy Bachus wygrywał zazwyczaj z Wenerą. Władze klubowe kilkakrotnie chciały nawet nakładać na niego jakieś kary, ale jak tu karać kogoś, kto niemal w pojedynkę potrafi wygrać ligowy mecz? Zgodnie z obowiązującymi w minionym ustroju zasadami reprezentant Polski po ukończeniu 30. roku życia dostał zgodę na wyjazd na Zachód, aby mógł odłożyć coś przed sportową emeryturą. Gdy w Polsce pojawiło się zdjęcie wspomnianego zawodnika w koszulce nowego niemieckiego klubu, wszystkich aż zatkąło z wrażenia. Na dumnie wypiętej piersi widniała reklama „Müllermilch”. Napój mleczny był chyba czymś, czego wspomniany zawodnik nigdy nie wziąłby do ust.

W trochę podobnej sytuacji znaleźli się teraz kolarze grupy Sky. W poprzednim Tour de France walczyli z plastikiem, w tym będą go reklamować. Warto dodać, że Jim Ratcliffe jest nie tylko biznesmenem. Angażuje się też politycznie, walczy z urzędnikami Unii Europejskiej, a ich

podatki ekologiczne

nakładane na takie firmy, jak jego, uznaje nie tylko za głupie, ale zabijające przemysł chemiczny: „Europa” – napisał w głośnym liście do UE – „swoimi podatkami ekologicznymi, uniemożliwi odrodzenie się przemysłu, ponieważ odstrasza nimi od inwestycji, kierując je w otwarte ramiona Ameryki i Chin. Pcha produkcję chemiczną również do innych części świata, które w mniejszym stopniu dbają o środowisko naturalne. Stany Zjednoczone są w trakcie procesu odnowy swojego przemysłu. Wdrażają ogromne programy budowlane odnoszące się do przemysłu chemicznego, instalują najlepsze na świecie technologie chemiczne, które dają jedynie ułamek emisji, które widzieliśmy pokolenie temu. Stare jednostki są wyłączane. Stany Zjednoczone nie mają podatków ekologicznych, ale nalegają na przestrzeganie najwyższych standardów ochrony środowiska, zanim wydadzą pozwolenie na budowę nowych obiektów”.

Może podczas Tour de France zamiast sylwetki orki Chris Froome, Michał Kwiatkowski i ich koledzy na plecach wypisane będą mieli fragmenty listu Jima Ratcliffe’a?

I znów dość daleko odesłaliśmy od sportu. Ale co zrobić? Profesjonalny sport ma coraz więcej wspólnego z biznesem i wymaga coraz

większych nakładów.

W zawodowe drużyny kolarskie inwestują już nie tylko potężne koncerny, ale także rządy krajów, jak choćby wspomniany Kazachstan, ale także Zjednoczone Emiraty Arabskie, Izrael czy Rosja. Rosjanie powołali do życia zawodową grupę i nazwali ją **Katiusza**, od wyrzutni rakiet w czasie II wojny. Ma to podkreślać siłę kraju starającego się odzyskać dawną mocarstwową pozycję. Co ciekawe, po pewnym czasie sami Rosjanie nie podołali finansowaniu zawodowych kolarzy. Musieli przyjąć do spółki producenta kofeinowego szamponu do włosów i teraz na koszulkach obok napisu „Katiusza” znajduje się reklama szamponu. Przy okazji zmieniono lokalizację grupy. Teraz zarejestrowana jest już nie w Rosji, ale w Szwajcarii.

Czy Dariusz Miłek ze swoim CCC okaże się potężniejszy od naszego wschodniego sąsiada i udźwignie ciężar finansowania czołowej grupy zawodowej? Na pewno nie zwróci się o wsparcie do Polskiego Związku Kolarskiego, który kiedyś sponsorował. Po aferze finansowo-obyczajowej w kolarskiej centrali Miłek zamknął portmonetkę i powiedział, że z tym towarzystwem nie chce mieć nic wspólnego.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Cwikliński, Waldemar Kuchanny, Andrzej Rozenek (zastępcy red. nacz.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Laniewska, Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
http://www.nie.com.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informacje o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta (koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Prenumerata elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań – 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydania – 156 PLN

Numer zamknięto: str. 1–16 – 10.04.2019 r.



by blagier Urban



Ocknąwszy się, minister sprawiedliwości i Prokurator Generalny Zbigniew Ziobro zamrugał oczami i poczuł dotkliwy ból głowy. Potem dostrzegł kołyszącą się nagą żarówkę starego typu i małej mocy, a potem dopiero stwierdził, że siedzi przywiązany do krzesła. W pomieszczeniu cuchnęło wilgocią i olejem napędowym.

– Gdzie... – próbował zapytać, ale nie zdołał. Wyglądało na to, że w gardle ma kluchę z krochmalu. Odkasznął, przełknął ślinę i spróbował jeszcze raz: – Gdzie jestem?

Światło zarówno przecięła czyjaś sylwetka.

– Jest tu kto? – zapytał Ziobro. Głos miał ochrypnięty, jak gdyby od dłuższego czasu przemawiał na manifestacji.

– Nie szarp się – powiedział ktoś, kto okazał się mężczyzną w średnim wieku, ubranym w togę z fioletowym żabotem. Nie wiadomo dlaczego na togę włożył gumowy fartuch. Obok stał drugi mężczyzna, ludzko podobny do Fransa Timmermansa, wiceprzewodniczącego Komisji Europejskiej. On też miał gumowy fartuch włożony na źle skrojony garnitur.

– Hou je mond! – w obcym języku zawołał mężczyzna podobny do Timmermansa. Gdyby Ziobro mówił po niderlandzku, zrozumiałby, że każde mu zamknąć mordę.

Dopiero teraz minister sprawiedliwości spostrzegł, że ktoś spuścił mu spodnie, na podłodze rozłożono folię, a człowiek w sędziowskim żabocie trzyma w ręku wiertarkę.

– Wiesz, co to jest? – zapytał ów człowiek, podnosząc wiertarkę i potrząsając nią.

– Wiertarka... – westchnął Ziobro.

– A wiesz, kim ja jestem? Ziobro pokręcił głową. Sznurek wbijał mu się w przeguby, a gołe kolana dygotały jak galareta.

– Jestem polskim sędzią – sam sobie odpowiedział polski sędzia – którego nazwiskiem od dwóch lat wycierasz sobie swoją brudną gębę: oskarżasz mnie o kradzież części do wiertarki.

Ziobro skojarzył: sędzia, Timmermans, wiertarka, gołe kolano... Skojarzył i przeraził się.

– Jak to? Ja nie... Co panowie... Przecież... – zaczął lkać.

– Niet huilen – powiedział z obrzydzeniem Timmermans, co po niderlandzku znaczyło, żeby przestał być mazgajem.

– Should I do it, Teacher? – zapytał sędzią po angielsku, co Ziobro akurat zrozumiał, bo dawno temu, zanim wybrano go do Parlamentu Europejskiego, wziął kilka lekcji angielskiego dla początkujących. Nie rozumiał tylko, dlaczego sędzia z takim nabożeństwem nazywa Timmermansa „Nauczycielem”. Przecież nauczyciele strajkują...

– Do it, son – rzekł rozkazując Timmermans.

Sędzia włączył wiertarkę. W słabym świetle staroświeckiej żarówki Ziobro zobaczył obracające się z wielką prędkością widiowe wiertło zbliżające się do jego bezbronnych kolan.

– Nie! – zdążył zawołać, zanim poczuł bezgraniczny ból i stracił przytomność.

PRZEMYSŁAW ÓWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

Świętej Odetty

Reżimowa prasa polska nie potrafi odczepić się od tematu żydowskiego. Oburza się ona, że filosemici (Żydzi i szabesgoje) szacują na 200 tysięcy liczbę Żydów, którzy zginęli z rąk Polaków lub wskutek ich współpracy z Niemcami. Prawda jest po stronie bohaterskiego narodu polskiego. Ilekroć by jego członkowie zgładzili Żydów, przecież byli w stanie zamordować ich więcej. Potępiani przez obie strony Polacy, którzy szantażowali Żydów, znajdują we mnie swego obrońcę. Wielokrotnie częściej niż polskie sądy konspiracyjne szmalowników karały sądy niemieckie. Skazywały ich za niewydawanie Żydów i czerpanie z tego zysków.

Świętego Maurycego

W „Polityce” co tydzień czytam felieton Pasenta. Sprawia to talent, którego mu zazdrościć, ale nie tylko. Dla mnie są to utwory z wizją, czyli z obrazem. Gdy np. w „Przeglądzie” czytam prof. Łagowskiego, widzę tylko tekst. Czytając Pasenta, mam przed oczami fizjonomię autora. Jest to także objaśnienie, dlaczego rodacy nie czytają książek. Gdyby przez kilkadziesiąt lat spotykali się towarzysko z Homerem żywcem, „Iliada” byłaby lekturą pożądaną, gdyż zilustrowaną fizjonomią i mimiką autora.

Świętej Klaudii

Podłości i zbrodnie Adama Michnika to temat wieczny w prasie PiS i starczy go jeszcze na 50 lat. „Gazeta Polska”: „Gdy w 2001 roku zmarł Gustaw Herling-Grudziński, pod nekrologiem pisarza »Gazeta Wyborcza« zamieściła nekrolog psa jednego z dziennikarzy”. A przecież u Michnika żywią się sami medaliści.

Świętego Lubomira

Trzeci pod względem ważności Polakokatolik Robert Tekieli twierdzi, że strajkiem w oświacie grożą postkomuniści. Woła: „Panie Broniarz, jest pan terrorystą” i „będzie pan traktowany jak terrorysta”. Cimoszewicz ma walonkowy kod genetyczny – dodaje. Jego przodkowie „weszli do polskiego salonu, wypróżnili się na dywan i bezkarnie rządząli Polską dalej”. Wymagana od katoli miłość bliźniego ma więc mały zasięg.

Świętej Cecylii

W kraju uroczystości odprawiane były obchody nieokragłej 14. rocznicy śmierci Karola Wojtyły. Zwracam uwagę wyznawców, że wolne są już miesięcznice. Podawano, że papież umarł 37 minut po godzinie 21, a Polacy zamiast codziennie zastygać w żałobie o tej porze, piją i uprawiają seks z Polkami. Lub męskimi kochankami, co gorsza.

Świętego Benedykta

Posel PiS do spraw niemieckich reparacji wojennych Arkadiusz Mularczyk twierdzi, że gdyby nie II wojna światowa, potencjał gospodarczy Polski byłby dziś równy Hiszpanii. Co chcę dodać? Gdyby nasza szlachta 400 lub 300 lat temu, zamiast tylko siał zboże, grodziła pastwiska, rozwijała flotę, hodowała owce, przędła runo i tkala sukno, to

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

dziś miałyby brytyjski poziom zamożności i polexit mogłaby przeprowadzić jawnie. Sprawiedliwość wymaga zmiany wszystkich przeszłych zdarzeń.

Świętego Oktawiana

Redaktor śmierzącego brukowca „Sieci” Michał Karnowski nazywa „NIE” ohydztwem. Pisze, że Biedroń realizuje wiosnę dla esbeków z IV Departamentu i fanów Urbana. Dupolizy Kaczyńskie gwarantują mi tak oto polityczne życie wieczne.

Świętej Pelagii

W światowym kinie kwitnie rasizm. Współcześni Rosjanie pokazywani są wyłącznie jako mordercy, mafiosi, bandyci, mięśniacy, oszuści. W najlepszym razie wredni oligarchowie. Jakoś nikogo to nie razi, nawet Rosjan, jak się zdaje. Kilkanaście lat temu Murzyni na ekranie nie mogli być czarnymi charakterami. Rasizm został wtedy odwrócony. Dziś kolor skóry nie ma znaczenia, chyba że scenariusz stanowi inaczej, ponieważ tematem są konflikty ludzi o odmiennej pigmentacji. Pod ochroną są Żydzi, ale łagodną. Pokpiwać z nich wolno, chyba że to Izraelczycy. Stereotyp paskudnych Rosjan trzyma się zaś trwale i mocno, a Putin śpi, zamiast wysyłać rakiety na Hollywood, o co się on prosi.

Świętego Zbysława

Prof. Zdzisław Krasnodębski, intelektualista PiS, wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego: „Nie mam nic przeciwko homoseksualistom, jeśli nie narzucają reszcie społeczeństwa swoich postulatów i stylu życia”. Niestety geje domagają się prawa rżnięcia profesora w jego dupę, żądają zarezerwowania ślubów wyłącznie dla związków jednopłciowych i zmierzają do ubrania całej ludności w tęczowe pajacyki z otworami dla ich stylu życia. Krasnodębski biega u Kaczyńskiego za liberała.

Świętego Gabriela

Prezesowi TVP Jackowi Kurskiemu bardzo dziękuję za ochronę moich interesów. Zatrudnia on do brudnej roboty Samuela Pereirę jako szefa programów dezinformacyjnych. Pan Mandark na Twitterze zatwittował: „Samuel, ty przejdiesz do historii. Ty przebiłeś, chłopie, Urbana”. Nie mogąc znieść porównywania mnie do swoich najemników, Kurski kazał zablokować tę wypowiedź, gdyż miała obraźliwy wydźwięk. Prezesowi TVP Bóg zapłać, oczywiście jeśli Ten ma jeszcze pieniądze.

Świętego Ireneusza

SLD zaprosił mnie pisemnie na debatę o Okrągłym Stole urządzoną przez liczne organizacje. Nabita sala przez kwadrans czekała na Kwaśniewskiego, ale się nie nudziłem przez ten

czas, tylko walczyłem o krzesło. Potem zebrani śpiewali hymn i czcili minutą ciszy. Potem organizatorzy witali przybyłych, wyjaśniając nam, dlaczego przyszliśmy. Następnie prezydenci Kwaśniewski i Komorowski mówili bardzo ciekawie, ale 2 razy dłużej, niż przewidywał program. Skończywszy, podjęli zaś publiczną debatę między sobą. Potem niektórzy organizatorzy imprezy, np. Stowarzyszenie Ordynacka i Klub Inteligencji Katolickiej w Warszawie, przemawiali, przedstawiając dzieje i zasługi swych organizacji. Później na froncie sali zasiedli paneliści. Dwoje moderatorów miało zadawać im pytania. Poprzedzili je mowami bodaj już o Stole. Pytali jednak o rzeczy oczywiste. Paneliści i tak nie słuchali pytań, tylko każdy grał swoją płytę. Andrzej Wielowieyski, reprezentant katolickiej odmiany inteligencji, czytał długi referat, który napisał. Wyszedłem z sali, gdy omawiał ze szczegółami polskie złe wskaźniki ekonomiczne z lat 1988–89. Od tych danych rozbołał mnie bowiem kręgosłup. Gdy wstałem, to upadłem. Na szczęście na Ryszarda Kalisza, który swą osobą zapewnił mi miękkie lądowanie.

Świętej Marioli

Prezydent Kwaśniewski powiedział, że w 1988 r. Gorbaczow oznajmił, że każda partia w demokracjach ludowych może już autonomicznie kształtować politykę wewnętrzną. Prostuję. Wraz z towarzyszącym Gorbieniu sekretarzem KC KPZR prowadziłem latem 1988 r. konferencję prasową z okazji pobytu w Polsce towarzysza Michała. Radziecki dygnitarz nie powiedział „każda partia”, lecz „każdy kraj”. To zasadnicza różnica. 4 czerwca 1989 r. przegrałem wybory, startując z puli bezpartyjnych. Wyszło 20 do 80 proc. dla aktora Łapickiego od Wałęsy. Bronisław Komorowski opowiadał, że w zamkniętych okręgach wojskowych wygrywała „Solidarność”. Żeby tylko! Warszawie-Śródmieściu, gdzie kandydowałem, przypadały głosy Polaków mieszkających za granicą. Przegrałem na budowach m.in. w Libii i Związku Radzieckim. Były 3 kraje, gdzie wszyscy mieszkający tam rodacy pracowali w polskich placówkach, a do ambasad zsyłano beton partyjny i esbecki. W Korei Północnej, Albanii i Mongolii także, wstyd powiedzieć, przeważały głosy na człowieka Wałęsy.

Świętej Larysy

Jeden jakiś klecha spalił parę książek, bo mu się nie podobały. Od tygodnia szarpia go za ten ogienek połączeni oburzeniem liberałowie, biskupi, mnisi, Żydzi i postkomuniści. Wyniosłem więc do ogrodu tyle książek, ile tylko uniosłem, i spróbowałem je palić, ale nie były łatwopalne. Wkurwia mnie bowiem przypisywanie świętości czemukolwiek: ludziom, miejscom i przedmiotom. W tym książkom. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 43

